

WISŁA.

DO SPORU O FOLKLOR.

W sprawie polemiki między prof. M. Kawczyńskim a prof. E. Porębowiczem.

(Dokończenie.)

Skoro tedy folklor nie jest, jak to przypuszcza prof. K., jedynie zbiorem wypaczonych, zepsutych, źle zrozumianych motywów literackiego pochodzenia, lecz odróżnić w nim można i przeżytki prastarego animizmu, i echa podań starożytnych (w jak najszerszym, dodajmy, słowa tego znaczeniu, obejmującym, oprócz Grecji i Rzymu, także Egipt i Babilonję), i późniejsze uwarstwienia ludowe, wreszcie reminiscencje czysto literackie, a wszystko to w drodze tradycji tak ustnej, jak i piśmiennej, w jedną zmieszane jest masę, to czyż można amalgamat, tak pstry w swym składzie, wespół z prof. K. obejmować jednym pytaniem: „Godziż się argumentować wstecz na odległość wieków“ materiałem ludoznawczym? Z pewnością nie, bo wobec rzeczywistego stanu rzeczy odpowiedź na tak szeroko postawione pytanie, jakąkolwiek ona będzie, zawsze okaże się mylną. Niepodobna powiedzieć,—czego domaga się prof. K. — że postępować tak się nie godzi, bo jak widzieliśmy, niektóre podania, już to wyrosłe na gruncie pierwotnych wierzeń ludzkości, już to przybyłe do nas w czasach wprost zamierzchłych (przykładem nowela o Rhampsinicie), w obu zaś wypadkach przekazywane zarówno ustnie, jak piśmiennie, mogą śmiało, jako starsze, tłumaczyć zjawiska literackie starożytności i średniowiecza, o które profesorowi K. właśnie idzie. Z drugiej jednak strony—nie mamy prawa powiedzieć, że metoda taka zawsze i wszędzie jest godziwa, bo skoro, jak wyżej się rzekło, w podania ludów współczesnych wsiąkło niemało z ludowej i artystycznej twórczości czasów nowszych, to, przenosząc wszystkie w odległe wieki, na gruby nieraz narazimy się anachronizm. Jedyną tedy odpowiedzią możliwą jest: „*jak kiedy, jak gdzie*“, t. j. innemi słowy— pytanie w każdym oddzielnym wypadku należy rozstrzygać z osobna na podstawie

analizy samego motywu. Stąd wypływa dla folklorystów naszych nagląca konieczność jak najrychlejszego rozejrzenia się w bezładnej masie baśniowej, aby rozłożeniem jej na pierwotne podłoże i kolejne późniejszych wieków uwarstwienia położyć ostatecznie kres dotychczasowej w posługiwaniu się folklorem dowolności, przeciw której może nie bez pewnej słuszności powstaje prof. K. Do osiągnięcia tego celu niemalą byłoby pomocą dokładne obliczenie puścizny po ludach klasycznych, i z tego względu, powtarzamy, myśl przewodnia studjów prof. K. może się stać owocną.

W wyjaśnieniu powyższej zasadniczej kwestji zyskując pewną podstawę dla dalszych wnioskowań, przystępuję nareszcie do omówienia wymienionych prac prof. K. w wyżej zakreślonych przez nas granicach.

W dziele „O pismach orat. i filoz. Apulejusza” prof. K. stara się wykazać wpływ platońskiej demonologii w przedstawieniu Apulejusza, w „De deo Socratis” najwyraźniej sformułowanej, na wyobrażenia wieków średnich. Nie bez powodzenia stwierdza prof. K. że, przystosowana do pojęć chrześcijańskich przez św. Augustyna, demonologia ta, jako teoria teologiczna, utrzymywała się przez całe średniowiecze aż do św. Tomasza z Akwinu. To daje mu asumpt do podniesienia pytania: „W jakim stosunku praktyka pozostawała do teorii w ciągu tych długich wieków? czy magia, na podstawie tej demonologii opierająca się, miała w tym czasie zastosowanie?” (Rozprawy, XXXI, 157.) Że w ciemnym i zabobonnym średniowieczu magia miała szerokie zastosowanie, tego prof. K.-mu dowieść oczywiście nie trudno przy mnogości odpowiednich świadectw; czy jednak oparła się ona na tej samej podstawie demonologicznej, to jeszcze wielkie pytanie. Pomimo starannych poszukiwań udało się prof. K.-mu znaleźć u pisarzy średniowiecznych jedno tylko powołanie się na Apulejusza (De deo Socratis), a z nagromadzonych przez niego licznych podań o przemianach, mających świadczyć o poczytności w wiekach średnich jego *Metamorfóz*, zaledwie trzy, jak zobaczymy, można z pewnym prawem do powieści tej odnieść. Prof. K. nie zechce chyba na traktujących o demonach-djabłach pisarzy kościelnych składać odpowiedzialności za szerzenie się magji, z którą oni to właśnie walczyć usiłowali. Zresztą nauka ta, jak sam prof. K. przyznaje, nosi charakter teoretyczny (tamże, str. 157: „charakter tych nauk, jak je określają deklaracje Sorbony, jest całkiem naukowy), teoria zaś w rzeczach zabobonu nie stwarza praktyki, lecz idzie za nią, starając się wprowadzić

niewielkiego światła i ładu w tę ciemną dziedzinę. Jeżeli następnie prof. K., dowodząc ożywienia się nauk i praktyk magicznych w XV i XVI wiekach, przez powołanie się na coraz to surowsze uchwały przeciw czarownikom i czarodziejom, oraz na takie dzieła, jak „Malleus maleficarum” Sprengera i „De daemonolatria” Bodinusa, ożywienie się to łączy w związek przyczynowy ze wzrastającym ruchem humanistycznym („przychodzi nam na myśl ruch humanistyczny” — str. 157), z ogłoszeniem w druku oryginalnego tekstu i przekładów pism Apulejsza, to już nie możemy powstrzymać okrzyku zdumienia. Jakto? więc humanizm, który najwięcej może przyczynił się do wyzwolenia myśli ludzkiej z pęt średniowiecznej scholastyki, ludzkiego uczucia z upokarzającej trwogi przed djabłem, miał umocnić i utwierdzić panowanie niedorzecznych guseł? Jednoczesność zjawisk niczego nie dowodzi; z równą słusznością mógłby prof. K. medjumizm i spirytyzm naszych czasów wywodzić z zasad pozytywizmu, a społecznych prestidigitatorów czynić spadkobiercami myśli Comte’a i Littré’go. Historia zna niemało zjawisk tej zagadkowej kategorii, a społeczna antropologia stworzyła nawet dla nich termin *revival*—odżytków, t. j. nieracjonalnych wierzeń lub zwyczajów, które na czas jakiś zapomniane, wskutek jakiegoś, że tak powiem, atawizmu zbiorowego naraz odżywają i znów szerzyć się i grasować poczynają (patrz J. Karłowicz: O człowieku pierwotnym, str. 623). Uchwała fakultetu teologii Sorbony paryskiej „w sprawie pewnych zabobonów, ze starodawnych kryjówek znów wypełzających”, *super quibusdam superstitutionibus ex antiquis lutebris noviter exortis* (str. 155), nie jest decydującym na korzyść prof. K. argumentem, niewiadomo bowiem, o jakiej starożytności tutaj mowa: o świecie klasycznym, czy o miejscowej przeszłości przedchrześcijańskiej. Streszczając się, powiemy, że jeśli jedno z twierdzeń prof. K., że mianowicie „nauki demonologiczne nieprzerwaną... tradycją płyną ze starożytności” (str. 160), jest poniekąd uzasadnione, to drugie, że „praktyki, przypisywane obwinionym (o magję), z takich praktyk już w starożytności opisanych wywieść się dają” (tamże), zwłaszcza o ile pośrednikiem ma być Apulejusz—budzi poważne wątpliwości. Nie znaczy to wcale, aby praktyki okultystyczne starożytności nie oddziaływały wcale na czarownictwo średniowiecza i czasów nawet nowszych. Owszem, sądzę, że dałoby się tu powiedzieć niejedno,—dowodem, na przykład, wierzenie, że szkodę na zdrowiu, rany i śmierć nawet człowieka można spowodować za pomocą pewnych czynności *in effigie*, na wyobrażeniu jego dokony-

wanych, już w starożytności szeroko rozpowszechnione (Horat., Sat. I, 8, str. 30; Ps. Callisth., I, 1; patrz także omówienie starożytnej figury magicznej przez Wünsch'a w „Philologus“, 1902, B. LXI, str. 1); dowodem używanie krwi niewinnego dziecka do różnych praktyk tajemnych, już czarownicom starożytnym znane (Horat., Epod., V, 10-15). Tego jednakże prof. K. nie czyni, a zwłaszcza nie ucieka się do pomocy tradycji ustnej, czynnego nauczania, które, moim zdaniem, mogło tu ogromną odgrywać rolę. Sądzę atoli, że wpływy starożytności mogły tylko dorzucić tu i owdzie jakiś szczegół charakterystyczny, jakąś nową praktykę, nie zaś stworzyć samo zjawisko, które u ludów nowych istniało oddawna—powołamy się choćby na giermańską wieszczkę Wellede, o której mówi Tacyt w „Giermanji“ (c. 8) i Historjach“ (IV, 61, 65; V, 22, 24) – i właściwym swym korzeniem tkwi gdzieindziej. Gruntem, z którego zjawisko to wzrosło, jest, moim zdaniem, prastary animizm człowieka pierwotnego. Nie będę tu powtarzał genezy i szczegółów tego światopoglądu, tylokrotnie rozwijanego przez antropologów (obacz literaturę choćby u J. Karłowicza, o. c. str. 145) i nie tylko antropologów (Beloch, Historja Grecji, rozdz. III: Mit i religja), i przypomnę tutaj, że światopogląd ten, mający punkt wyjścia w obserwacji snu, jawy i śmierci, oparty na pojęciu ducha, utożsamionego z tchnieniem czyli życiem i rozumianego jako źródło ruchu, posługiwał się nim dla wytłumaczenia wszelkiej w naturze zmiany, wszelkiego ruchu, i w ten sposób zapełnił wszechświat niezliczoną armją duchów: dobrych i złych, psotnych i opiekuńczych. Zaskarbić sobie łaski ostatnich, odwrócić gniew pierwszych — było dla praojców naszych, do swej bezsilności tak głęboko niedołącznych, kwestją bytu. Stąd zaklęcia, oparte na wierze w cudowną moc słowa, w pewnych warunkach wypowiedzianego, stąd symboliczne praktyki, z początku nieudolną mową pierwotną posilkujące się, które jednakże, skoro już weszły w użycie, utrzymywały się i później z obawy zagniewania nawykłych do nich duchów, aż, gdy o pierwotnym ich znaczeniu zapomniano, same w sobie znaczenia nabrały. Wtedy to, ponieważ skutek zaklęcia zależał, jak sądzono, od ścisłego dopełnienia wszystkich formalności, zaczęto się uciekać do osób, ze względu na wiek lub okoliczności w tej sprawie biegłych. Ewolucja ta skończyła się ostatecznie tym, że umiejętność zaklinania, ongi wspólna wszystkim, wzniosła się na stopień zamkniętej dyscypliny, nieliczni zaś wtajemniczeni, sami tylko posiadający sekret zaklinania duchów, niepomniernie ponad ogół się wznieśli. (Porówn.: Radliński I.: Prorocy

biblijni, 1904, str. 36—47.) Stąd płynie potęga egipskich kapłanów, o których takie dziwy (przemiany lasek w węże) i t. d. opowiada „Pięcioksiąg” Mojżesza (Exod., VII, 12); stąd wielowiekowa sława magów babilońskich i chaldejskich; stąd w Grecji rozgłos czarownic tessalskich i kolchidzkich; stąd wreszcie owe germańskie wróżki, średniowieczne czarownice, nowoczesne znachorki. Uważać tedy homerską Cyrceę za „prawzór wszystkich późniejszych czarownic”—jak to czyni prof. K. (Apulejusza *Metamorfozy*, XXXI, 251)—byłoby grubym błędem, braniem zjawiska pochodnego za podstawowe. Nie potrzebuję chyba dodawać, że niezmiernie bogate demonologie, cała hierarchja duchów wodnych, powietrznych, leśnych, stanowi samo jądro, samą istotę animizmu. Z nią też możliwszym się nam zdaje związać średniowieczne wierzenia, niż przez Apulejusza z platońską demonologją, a ostatnią przez Pitagorasa z Zoroastrem (sic! patrz: O pism. orat. i filoz. Apul., str. 163). Ostatniej hipotezy nawet zbijać nie będziemy, jako wiszącej w powietrzu. W tym miejscu za właściwe uważamy sprostować jeden błąd faktyczny prof. K. Mówiąc o średniowiecznych inkubach (latawcach), twierdzi on, że dopiero św. Augustyn o nich wspomina. Tymczasem spotykamy ich, wespół z całą masą reminiscencji baśniowych, już u Petronjusza (c. 38): „cum incuboni pilleum rapuisset, thesaurum invenit”, — „gdy inkubowi czapkę porwał, skarb znalazł”. Friedländer w „Coena Trimalchionis” w odnotacji do przytoczonego ustępu dodaje, że „wiara w strzegących skarby koboldów, których zmusić można do wskazania tychże przez zerwanie z nich płaszcza, była tedy i w starożytności rozpowszechnioną”, odsyłając przytym do Steudinga w „Mythol. Lexicon” W. Roschera pod wyrazem *Incubus incubo* (tego ostatniego dzieła w tej chwili nie mam i sprawdzić cytaty nie mogę). Tak tedy inkuby nie „z Amora pochodzą”, jak się figuralnie wyraża prof. K. (Folklor i t. d., str. 9), lecz ze starych „wierzeń ludowych” rzymskich, przyswojonych przez średniowiecze w niektórych szczegółach.

Jak ze światopoglądu animistycznego konsekwentnie wypływają magja i wierzenia demonologiczne, tak też w nim ma swe źródło kult świętych drzew, przez prof. K. niesłusznie, moim zdaniem, wywodzony z klasycznej starożytności. Za podstawę do takiego wniosku służy mu wielce interesujący ustęp z „Florida” Apulejusza (I, 1), który tutaj we własnym jego przekładzie przytaczamy: „Obyczajem jest pobożnych podróżników, naszedzszy święty gaj jaki, albo inne jakie święte miejsce, wznosić modły, składać wota, zatrzymywać się w drodze...

Zaiste, żaden inny przedmiot nabożny słuszniejby nas nie zatrzymał (niż miasto, gdy Apulejusz ma mowę,—dodajmy od siebie), ani ołtarz kwiatami ozdobiony, ani jaskinia, ocieniona gałęziami, ani dąb ubrany w rogi (wspomnijmy polską legendę heraldyczną o Dęborogu), ani wzgórze otoczone płotem, ani pień drzewa, na podobieństwo ludzkiej postaci przycięty, ani murawa, dymiąca libacjami, ani kamień, zlany wonnemi olejami.“

Ustęp ten i podobne (patrz naprzykład: Plin., H. n., XII, 3: *prisco... ritu simplicia rura etiam nunc deo praecellentem arborem dicant*) nie pozostawiają wątpliwości, że kult świętych drzew nie był obcy klasycznej starożytności. Przedmiotem jego zwykle były drzewa, których wygląd uderzał czymś nadzwyczajnym. Owidjusz naprzykład opowiada, jako sam zawiesił wieniec na gałęzi dwóch zrosłych w jedno drzew, z któreni wieść ludowa imiona Filemona i Baucydy łączyła (Met., VII, 719—724). Z takimi to faktami życia starożytności klasycznej prof. K. w przyczynowy łączy związek święte drzewa ludów nowożytnych. Wprawdzie Burchardus, biskup Wormacji, uważany za jedno ze źródeł głównych do mitologii germańskiej, w dekretach swych przeciw gusłom ówczesnym podaje cały szereg wiadomości o czczeniu drzew i źródeł u Germanów (Dekreta X, patrz *Opero omnia* w „Cursus patrol.“ Migne), ale zdaniem prof. K. „to niekoniecznie ma świadczyć o niemieckich wierzeniach odwiecznych. Dlaczego? Bo oto wciąż powołuje się na Grzegorza W., św. Augustyna, św. Antoniego, na ustawy papieża Marcjalisa, Zachariasza, uchwały synodów kartagińskiego, ancyańskiego, bragarenckiego (Portugalja), nanteńskiego. Tak autor sam wszędzie... wskazuje niejako źródło, skąd się te wiadomości szerzyły. Źródłem świat starożytny, życie starożytne z obyczajami, obrzędami, które się usunąć nie dały, a następnie nawet rozpowszechniały się jeszcze“ (O pism. orat. i t. d., 150 i 151). Powiemy, że niema żadnego dowodu na to, żeby uchwały powyższe były skierowane przeciw jednemu jakiemuś kultowi powszechnemu, „jakiego zresztą starożytność nie znała wcale,“ a nie wierzeniom lokalnym. Skoro zaś Afryka i Azja, Italja, Francja i Portugalja miały swoje święte drzewa, miałyby jedna Germanja stanowić wyjątek i dopiero zapożyczać je od Rzymian? Co do mnie, nie poważylbym z praktyk starożytnych tłumaczyć kult drzew u narodów nowych,—spotykamy go bowiem na znacznie szerszym obszarze, niżli wpływy świata klasycznego sięgały. Od drzew, obwieszonych wstęgami i futerkami, roili się lasy starożytnej Litwy, nie są one obce do dziś dnia

w puszczech syberyjskich (Brückner A., starożytna Litwa, 1904, str. 114 i 115), oraz, jak to prof. K. sam zaświadcza (O pismach orat. i t. d., str. 93), wśród plemion afrykańskich. Ale dla prof. K. nie mają wartości późniejsze świadectwa, — musimy się przeto cofnąć w czasy zamierzchłe. Oto zazdrosny Jahwe Izraela ustami Ozeasza proroka skarży się na lud swój, że „dopytuje się u drewna swego, a kij jego wieszczy mu... Na wierzchołkach gór zarzynają osłary, a na pagórkach kadzą pod dębem i topolą białą i sosną, wszak przyjemny ich cień“. Należą one, moim zdaniem, do szerokiej kategorii „fetyszów“ — przedmiotów, uświęconych przez chwilowe lub stałe przebywanie boga, — a fetyszyzm jest prastarym zjawiskiem ogólnoludzkim, dotąd w żywej praktyce nietylko u dzikich ludów się utrzymującym.

Po następujących z kolei „Metamorfozach Apulejusza“ prof. K., po bardzo dokładnym streszczeniu powieści i zupełnie nowym przedstawieniu stosunku jej do dwóch greckich tegoż motywu opracowań roztrząsa ludowe i literackie jej antecedeny. Przedewszystkiem stwierdza, że powieści o przemianach ludzi w zwierzęta „sięgają w starożytnym świecie bardzo daleko wstecz“, że wyrosły one „na podstawie dawnych wierzeń“ (Rozpr. Akad. Umiej., XXXI, str. 251). W tym wszystkim niepodobna się nie zgodzić z prof. K. Jeżeli jednak głównym czarodziejem, powodującym te przemiany w nagrodę lub za karę, czyni on Zeusa i przypuszcza, że powieści Owidjusza wiarę w metamorfozy utrwalić i rozpowszechnić mogły, jeśli w końcu za pierwszą pobudkę do takich opowiadań uważa „często się pojawiającą tożsamość nazw między ludźmi a roślinami, zwierzętami, gwiazdami“, to przeciw takim stwierdzeniom, będącym poniekąd w sprzeczności z poprzedzającymi, musimy zaprotestować. Tożsamość nazw między ludźmi z jednej, a zwierzętami, roślinami i t. d. z drugiej strony jest raczej wynikiem powieści o przemianach, niż ich przyczyną. Inaczej bowiem jak sobie wytłumaczyć możliwość jednakich nazw dla przedmiotów, tak zgoła różnych? czym ją objaśnić? Na to prof. K. nie daje odpowiedzi.

Zgodnym z zasadniczym poglądem prof. K. na folklor, atoli zupełnie błędnym, wydaje się nam przypisywanie Metamorfozom Owidjusza wybitnego znaczenia w rozpowszechnianiu się *wiary* w przemiany. Wykwintny sceptyk, widzący w starych mitach tylko materiał do poetyckiego opracowania a występujący w roli apostoła starodawnych wierzeń — wszak to istna *contradictio in adjecto*, wszak wiara tylko przez wierzących szerzyć się może. Nie znaczy to jednak, aby niektó-

re z mało znaczących, lokalnych a przez niego spopularyzowanych powieści nie mogły pomnożyć liczby „wędrujących“ motywów. Niezupełnie w końcu zgodne jest z rzeczywistym stanem rzeczy przypisywanie naczelniej w tych przemianach roli Zeusowi. Nawet w *Metamorfozach* Owidjusza, utworze stosunkowo późnym i pierwotne wierzenia niezupełnie wiernie odtwarzającym, znajdujemy przykłady przemian, bez pomocy wyższej, postronnej siły dokonywanych, — wspomnijmy historję Narcyza, Achelousa, Proteusza. Moim zdaniem, nie w *Homerowej* powieści o Cyrcei, nie w *Owidjuszowych Metamorfozach* należy szukać początku podań o przemianach, lecz tam, skąd pochodzi i demonologia, i czarownictwo, i fetyszyzm z kultem drzew świętych. Źródłem ich jest ów pierwotny stan umysłów, w animizmie wyraz swój mający. Skoro jeden i ten sam duch, jedna i ta sama ożywiona, czynna, z substratem zaś swym tylko mechanicznie związana potęga tkwi w człowieku i zwierzęciu, kamieniu i drzewie, a pojęcia o prawdopodobieństwie, wobec absolutnej nieznajomości praw natury, były całkiem od naszych odmienne, — wiara w przemiany musiała się zrodzić u różnych ludów niezależnie, jak te same rośliny z bujnej a ogrzanej wzrastają ziemi, gdzie niewidzialna ręka rozsiała te same nasiona. Bezcelowym tedy i próżnym nam się zdaje — wobec mnogości przemian w arabskich z 1001 nocy powieściach — zapytywać współ z prof. K.: „czy oni (Arabowie) nie znali czasami samego Lucjusza z *Patrae* rozmaitych powieści o przemianach?“ (Tamże, str. 259.) Arabowie nie potrzebowali sięgać aż do Lucjusza po rzeczony powieści, wystarczyłoby rozejrzeć się wkoło siebie.

Wśród powieści o przemianach osobne stanowisko zajmuje wilkołactwo (*lycanthropia*). Mitologicznie wiązą je z kultem zmarłych i widzą w nich niejasne wspomnienie o duchach, które, nie znajdując dla jakichkolwiek powodów (przedwczesnej, gwałtownej śmierci, niedopełnienia obrządków pogrzebowych i t. d.) spokoju w grobie, włóczą się jakoby, gniewne i mściwe, po świecie, dławiąc i dusząc napotykanymi ludźmi (Karłowicz J., *O człowieku pierwotnym*, str. 63). Prof. K. nie wyodrębnia należycie wilkołactwa z masy podań o przemianach i napotykanie w wiekach średnich stara się wywieść z zabobonów ludów klasycznych. Nie możemy i tutaj z nim się zgodzić. Omawiając podania starożytności o wilkołakach, opuszcza on niezmiernie ważne, bo najstarsze, z V jeszcze wieku przed Chr. pochodzące świadectwo Herodota (IV, 105), stwierdzające istnienie wierzenia tego u scytyjskiego plemienia Neurów. Nie mamy najmniejszej podstawy do wy-

prowadzania z nad brzegów Euksynu, późno zresztą Grekom udostępnionych, arkadyjskiej powieści lokalnej, o której mówi prof. K. Skoro zaś zabobon ten rozwinąć się mógł w dwóch miejscach kuli ziemskiej niezależnie, czemuż to nie mogło się stać gdzieindziej? Dlaczego, na przykład, starogiermańskie, z „Volsunga-Saga“ pochodzące podanie o przemianie Zygmunta i Zygfyryda w wilki, z Grecji lub Rzymu pochodzić powinno?

Również pytanie prof. K., czy dla wytworzenia powieści o wilkołakach, wcześniej, bo już w XII w., literaturze starofrancuskiej występujących, „wystarcza wiadomość, podana przez św. Augustyna za Varronem, albo też czy pomocnym był do tego wilkołak Petroniusza?“ (tamże, str. 260) — musimy uznać za nieuzasadnione. Gdyby nawet uznać pewien wpływ starożytności na rozpowszechnienie, spopularyzowanie w wiekach średnich tego zabobonu, należałoby go w każdym razie szukać na drodze nie literackiej, lecz tylko w ustnej tradycji ludowej, jak to było z inkubami.

Skoro tedy wiara w możliwość przemian i podania o nich za ogólnoludzkie uważane być mogą, więc do wyprowadzania z roman-su Apulejuszowego średniowiecznych powieści o przemianach, jak to czyni prof. K., upoważnieni jesteśmy tylko wtedy, kiedy, jak to już raz mówiliśmy, jakieś uderzające podobieństwo szczegółów wskazuje wyraźne zapożyczenie, a zewnętrzne okoliczności na podobne przypuszczenie pozwalają. Zgodnie z takim kryterjum, z nagromadzonych przez prof. K. paraleli możemy Apulejuszowi z pewnością przypisać tylko dwie: jedno u Wilhelma z Malmesbury (*Gesta regum Anglorum*, edit. Hardy, 1840 r., II, 171, powtórzone u Wincentego Bellowaceńskiego, *Spec. Natur.*, III, CX), drugie u Sprengera (*Malleus maleficarum*, pars II, quaest. 2, cap. 4, w tejże formie powtórzone następnie u Bodinusa, *De daemonolatria*). W pierwszym — młody histrjon, przez karczmarkę z okolic Rzymu przemieniony w osła, musiał robić, co mu kazano. Sprzedany następnie bogaczowi z przestrożą niepuszczania go do wody, nieraz gości swego pana zabawiał inteligencją i sztukami. W końcu, zerwawszy się z postronka, skąpał się w jeziorze — i z wody wyszedł człowiekiem. W drugim — młodzieniec, przybyły do cypryjskiego Salaminu, zjadłszy kupionych u przekupki jaj, stał się osłem i, nieprzyjęty na statek, wrócił do kobiety i służył jej lat 3, nosząc drzewo i zboże, jako juczne bydło. Kiedy zaś, przechodząc około kościoła, ukląkł na tylne nogi, a przednie poniósł do góry, złożone jak ręce, ludzie domyślili się, że mają przed sobą człowieka i zmusili

czarownicę do wrócenia mu pierwotnej postaci. (Tamże, str. 254 — 256.) Być także może, iż św. Augustyn (De civ. Dei, XVIII, 18), mówiąc o gospodyniach w domach zajeżdżnych pewnej okolicy w Italji, które, wedle chodzących wieści, „umiały czar zadawać podróżnym, którzy, przemienieni w juczne bydłęta (*jumenta*), nosili, czym ich obarczano,“ poczym do dawnej wracali postaci (tamże, str. 253), — notuje podanie, w zależności od Apulejusza stojące; atoli mimo tożsamości tła, na którym rozwija się akcja, brak pewności co do zewnętrznej charakterystyki bohatera nie pozwala nam twierdzić tego stanowczo.

Widzieliśmy, że powieść o dziwnych przygodach młodzieńca, zaklętego przez gospożynę w osła, jakkolwiek z Apulejusza (czy też z greckich wersji tejże powieści) wsiąkła w tradycję ludową, nie dochowała się w niej do naszych czasów. Jeżeli prof. K. dziwi się, że „wilkołactwo rozszerzyło się o wiele bardziej, aniżeli przemiana w osła“ (tamże, str. 260), i wyjaśnienia tego zjawiska nie znajduje, to dla nas przyczyna leży jak na dłoni: źródłem pierwotnego — stary zabobon ludowy, drugiego — pomysł czysto literacki. Tak więc fakty dowodzą, że w sprawie szerzenia się powieści ludowych tradycja ustna nieraz ma pierwszeństwo przed piśmienną.

Z zawartych w obu przytoczonych dziełach wywodów autora, tyczących się filjacji podań starożytnych i średniowiecznych, rozważyliśmy tylko punkty, które autor starał się szczegółowiej uzasadnić; częstokroć jednak hipotetyczność ich tak się rzuca w oczy, że zbijać ich nie trzeba — dość je przytoczyć nieuprzedzonym czytelnikom. „Okazało się najprzód, — mówi w jednym miejscu prof. K. (Rozpr. Akad. Umiejętn., XXXI, 146 i 147), — że legenda o Apulejuszu, jako o czarodzieju, od czasów Laktancjusza wzmogła się i rozszerzyła. Równolegle z nią szerzy się także wiara w magję... Jednym z jej objawów w literaturze jest legenda o Teofilu, przedstawiająca pierwszy pakt z djabłem wytworzona w świecie greckim w w. VI, a w pierwszym zawiązku nawet z nazwiskiem św. Bazylego związana“. A znów w drugim (tamże, str. 160): „O związku czasów nowszych ze starożytnymi niech poświadczy także legenda o Fauście. Tworzy się ona w w. XVI, w okresie wielkiego rozkrzewienia się demonologii. Sądzimy, że wszystko, co się wyżej w tej sprawie powiedziało, dostatecznie tłumaczy, z jakiego ona wyrasta terenu, z jakiego posiewu“. — Nie. Zasadniczą dla legendy o Teofilu, Fauście, Twardowskim nie jest magja, którą ma wspólną z niezliczonymi podaniami starożytnymi o cza-

rodziejach, lecz właśnie ów pakt z djabłem, sprzedanie duszy na wieczne czasy za korzyści doczesne, idea nawskroś nowa, chrześcijańska, która w żadnym razie nie może „wyrastać z gruntu” starożytnego. Czyż zatem wolno autorowi—zapytamy—kończyć swą pracę uroczystym, a pełnym zadowolenia zapewnieniem: „Przypomnijmy sobie, żeśmy tu zyskali wyjaśnienie warunków wytworzenia się całego szeregu zjawisk literackich, jak legiendy o Teoflu..., w końcu pojawienie się Fausta. Czy dałoby się atoli dojść do tego inną drogą, aniżeli ta, którą obraliśmy?” (Tamże, str. 164.)

Pozostaje do rozważenia praca o „Partenopeusie de Blois” (Rozpr. Ak. Um., XXXIV). Prof. K., po wyczerpującym wykładzie treści poematu (wykład ten, pierwszy w tym zakresie u nas, gorąco polecamy uwadze czytelników), podaje zarys historii badań nad tym interesującym zabytkiem, dotychczasowych tłumaczeń jego genezy, następnie odróżnia w nim osiem tematów (Imię bohatera, Wstęp do poematu, Wylewy liryczne, czyli Wiosna i miłość, Literackie zapatrywania się autora, Trojańskie pochodzenie królów Francji, Miłość Partenopeusa i Meljory, Teorja miłości, Rycerskość i pańskość), i każdy z osobna szczegółowo wyjaśnia. Przedewszystkiem powiedzmy, że praca ta po wyżej rozebranych nic zasadniczo nowego w poglądach prof. K. nam nie przynosi, wspiera się ona bowiem najzupełniej na poprzednio rzuconych podwalinach i daje tylko nowe zastosowanie dawnym założeniom. Tak, jeśli poeta „utwór swój zaczyna od nabożnej inwokacji”, to zdaniem prof. K. (str. 144) „wskazywałoby to na pewną znajomość starożytnych epei, z których każda zaczyna się od świętych muz wezwania”. Nie będziemy zatrzymywali się na tym twierdzeniu, zbyt szczupłe zakreślającym granice samorzutnej twórczości poetyckiej. Jeśli poeta opiewa miłość w związku z wiosną, to z pewnością za wzór mu służył wstęp Lukrecjuszowego poematu, „Pervigilium Veneris” lub coś podobnego. Wprawdzie zmysł krytyczny ostrzega autora, że „ten temat nadaje się sam z siebie każdemu człowiekowi, a tym bardziej każdemu poecie”, ale autor wnet usypia go zapewnieniem, że „byłby to sąd pośpieszny i powierzchowny”, bo „dla człowieka... wiosna nie jest jedyną porą miłości, zaś w sferze chrześcijańskiej miłość, o jakiej tu mowa, bynajmniej nie jest obowiązkowa wogóle... poeta chrześcijański śpiewałby na wiosnę o Zmartwychwstaniu Pańskim. o Wniebowstąpieniu” i t. d. (str. 69). Pozostawiamy czytelnikom sąd o wartości tych argumentów. Dla nas atoli największe ma znaczenie

temat o miłości Partenopeusa i Meliory, stanowiący starofrancuską paralełę motywu „Amora i Psyche”. Dla prof. K. niema najmniejszej wątpliwości, że poeta francuski znał powiastkę Apulejusza i przystosował ją do swych celów „W całości osnowa miłości P. i M.” — mówi prof. K. (str. 94) — „jest podobną do takiejże osnowy Amora i Psyche. Jest do niej równoległą, co dowodzi, że za wzór autorowi starofrancuskiemu służyła; w niektórych bardzo znamiennych motywach jest identyczną, a do nich należy: czarodziejski wehikuł, pałac z czarodziejską usługą, zakaz oglądania, złamanie zakazu, rozdzielenie, pokuta i połączenie. Czarodziejskie motywy (tu wstawiamy wstęp, zaczerpnięty z innego miejsca, p. str. 85 i 86: „Podstawą tych czarów jest z pewnością demonologja, jak ją Apulejusz opisał) są w większej ilości. Czy z tego można wnioskować, że one już były bardzo rozpowszechnione? Nie, bo jakby były bardzo rozpowszechnione, to jużby nikogo nie zaciekały.” Pomijając ostatnie rozumowanie, którego hazardowność każdy łatwo zrozumie [z równą słusznością, na przykład, gdyby tak los z całej poetycznej literatury rzymskiej z epoki Augusta zachował nam tylko wycieczki Horacego przeciw Sagonie i Kanidji (Epod., V, XVII; Sat., I, 8) z drobiazgowym przedstawieniem procederu czarownic, możnaby wnosić o świeżości motywu w ówczesnym piśmiennictwie], powiem o pierwszych, że nie są one dostatecznie przekonywające. Przedewszystkim osnowa w obu powieściach, aczkolwiek podobna, nie jest bynajmniej identyczna i zbliża się raczej do typu „Meluzyny”; że bohaterów „rolę są tu odwrócone”, przyznaje sam prof. K. (str. 148) i szeroko się rozwodzi nad motywami, które mogły poetę do tych zmian skłonić. Oczywiście, słuszność tych dociekań, bezsprzecznie dowcipnych, nie jesteśmy w możności sprawdzić. Następnie i owej identyczności wielu znamiennych motywów nie należy brać zbyt dosłownie. Na przykład wyrażenie: „czarodziejski wehikuł” obejmuje dwie rzeczy tak mało do siebie podobne, jak zefirek, znoszący Psychę ze szczytu góry do pałacu Amora, i okręt samochód, przywozący Partenopeusa na wyspę Meliory. Prawda, tu i tam widzimy czarodziejski pałac, jako scenę akcji, i stoły samokarmy, cudowne ruchome sprzęty. Całe to jednak tak wygodne umeblowanie, jak wykazaliśmy już w „Wiśle” (XVII, 377), stanowi zwykły atrybut odwiecznej baśni helleńskiej o krainie szczęśliwości i, wbrew mniemaniu prof. K. (Rozpr. Akad. Um., XXXII, 435), z „platońskim poglądem na świat, platońskim pojmaniem magji”, u Apulejusza wyrażonym,

nie wspólnego nie mają ¹⁾, zatym i inną drogą do poematu francuskiego trafić mogły; pozostający zaś wspaniały pałac sam przez się nie tak dalece znamiennego nie przedstawia. Te względy, zgodnie z naszym kryterjum, nie pozwalają nam dzielić niezachwianej pewności prof. K., że „niezależność francuskiej (powieści) od łacińskiej jest wykluczona“ (str. 148).

Na tym kończymy nasze roztrząsania. Składamy pióro z uczuciem głębokiego smutku. Szkoda całych lat pracy, dla społeczeństwa i nauki tak mało owocnej. Szkoda tak rozległej wiedzy, tak wybitnego talentu pisarskiego, w pogoni za złudną marą trwonionych. Szkoda niepospolitej kultury umysłu, wykształconego na arcydziełach wszechświatowej literatury smaku, w namiętnej polemice, w osobistych wycieczkach zatracanych. Chciejmy jednak wierzyć, że panowanie błędnej doktryny nie będzie wieczne, że mgły jednostronnej teorji, brudne wyziewy obrażonej miłości własnej rozproszą się niebawem, i po chwili pewnego przyćmienia myśl prof. K., oczyszczona w ogniu zawodów i osobistego cierpienia, nowym załśni blaskiem, aby przynieść nauce polskiej niejedną jeszcze jasny, słoneczny dzień dożytkowy.

Sidawa gub. Podolska, 6. I. 04.

Witold Klinger.

ZASTOSOWANIE MIKROSKOPU W BADANIACH PRZEDHISTORYCZNYCH. *Przez d-ra Fr. Netolitzky'ego, asystenta w Insbruku* ²⁾).

Badania mikroskopowe przyczyniły się do niejednego już doniosłego odkrycia na obszernym polu poszukiwań przedhistorycznych, nieraz już dopomagały do torowania nowych dróg, do stawiania śmiałych poglądów, do obalania lub wzmacniania dawnych mniemań. Dotychczas zwłaszcza mineralogowie i petrografowie posługiwali się z powodzeniem szkłem powiększającym i techniką mikroskopową. Tak Fischer we Fryburgu, na podstawie badania cienkich

¹⁾ Z tym poniekąd sam prof. K. później zgodzić się musiał, czytamy bowiem u niego („Folklor a nauka liter“, str. 8): „Najważniejsze motywy, których Apulejusz użył do złożenia swej powiastki, istniały już przedtem... nawet stół, który się na rozkaz zastawia potrawami“... Jest to ustępstwo niezmiernie ważne.

²⁾ Ob. „Correspbl. d. d. G. f. Anthrop, Ethnol. u. Urgesch.“ München T. XXXII, № 1, str. 1.

warstewek, odpilowywanych od narzędzi kamiennych, podniósł kwestję nefrytu i jadeitu, kwestję, która, mimo pewnych błędów w interpretacji wykrytych faktów, tak zapładniającą i podniecającą oddziaływała na mnóstwo innych badaczy z najrozmaitszych gałęzi wiedzy.

Mimo tych i tym podobnych powodzeń, mikroskop nie zdobył sobie jeszcze w dziedzinie badań przedhistorycznych tego zaszczytnego stanowiska, które się mu niewątpliwie należy; niema jeszcze mowy o jego ogólnym zastosowaniu, i nawet znaleziska, które pozwalają na jasne wejrzenie w najsubtelniejsze części ich budowy, bywały przeważnie badane powierzchownie, przy powiększeniach bardzo nieznacznych. Brak ten dostrzec się daje najwyraźniej w często przytaczanym dziele Heera „Die Pflanzen der Pfahlbauten“, w którym szkło powiększające żadnej nie gra roli. A jednak, bez jego pomocy, wolne od zarzutów określanie wszelkich nasion jest właściwie niemożliwym, a chociaż dość rzadko napotyka się w nim błędy, zawdzięczać to należy przeważnie doskonałemu zachowaniu i znacznej ilości materiału dla badań. Natomiast, o ile ziarna zboża powypadały z kłosów, o ile owoce i nasiona przez zwęglenie stały się nierozpoznawalnymi lub uległy częściowemu zniszczeniu, — gołe oko nie wystarcza, i trzeba je zaostrzyć za pomocą szkła powiększającego¹⁾. Toż samo stosuje się zawsze do badania resztek tkanin, które w większych kawałkach znajdują się w budowlach palowych w północnych trumnach drewnianych, w Salzbergu i nielicznych innych miejscowościach. Pochodzenie nici, użytych do ich wyrobu, nie może być innym sposobem napewno rozpoznane.

Ale szkło powiększające ma znaczenie nietylko przy badaniu takich większych kawałków tkaniny, znajdujących wyłącznie w niektórych miejscowościach uprzywilejowanych; przy jego pomocy uda się nieraz wykazać ślady odzieży tam, gdzie nieuzbrojone oko nie zgoła dostrzec nie może. Miejsca tak korzystne, które zawsze powinnyby podlegać gruntownemu rozpatrzeniu, znajdują się na zapinkach od ubrań, na haftkach, haczykach, pierścionkach i t. d. Również na rękojeściach broni i umocowaniach toporków na drzewcu, jako też na narzędziach, mikroskop pomógłby do wykrycia rzeczy nowych.

¹⁾ Porównaj: C. Hartwich „Ueber Papaver somniferum,“ „Apothekerzeitung,“ 1899, L. Wittmach „Ueber altägyptisches Brod“ („Sitzungsbericht der Gesellschaft naturforschender Freunde zu Berlin.“ 1896. № 5) inni.

Gdyby można było wyjaśnić historję naszych roślin użytkowych i towarzyszącego im zielska, zwłaszcza w tym, co się tyczy ich ojczyzny i ich wędrówek, to w prahistorji człowieka byłby zrobiony ogromny krok naprzód.

Z natury rzeczy wynika wszakże, że z nielicznymi wprawdzie wyjątkami lepiej znamy naczynia kuchenne, niż pokarmy, dla których zostały wynalezione. Z kształtu, materiału i ozdób takich naczyń można wiele wnosić; o celach ich użycia świadczy jedynie ich zawartość.

Resztki takie znajdują się w najrozmaitszych naczyniach o wiele częściej, niż się pospolicie mniema. Naczynia te zdają się niekiedy być całkiem próżnymi, niekiedy znów są napełnione tylko ciemniejszą, nieco tłustawą w dotknięciu ziemią; a jednak szkło powiększające w obu wypadkach wykazuje resztki komórek, które z pewnością pozwalają domyślać się pozostałości strawy ¹⁾. Łuski naszych ziarn zbożowych posiadają mocno skrzemieniały naskórek, który, pomimo swojej pozornej delikatności, opiera się równie dobrze wpływowi wody jak ognia i pod tym względem nie ustępuje nawet narzędziom kamiennym. Bywały też, według różnych sprawozdań, znajduwane takie naczynia przedhistoryczne, do których ścian wewnętrznych przylegała gruba skorupa, złożona z resztek pożywienia. Tutaj mógłby mikroskop odkryć wiele ważnych wiadomości o dawnym sposobie życia, ale, niestety, nawet takie znaleziska bywały odrzucane na bok, bez zatroszczenia się o ich zbadanie, a w naczyniach, które już uległy muzealnemu wyszorowaniu, trudno już odkryć choćby najskromniejsze resztki tkanek roślinnych na ściankach.

Podobnie, jak każde naczynie powinno być poddawane uprzedniemu zbadaniu jego zawartości, należy także wszystkie narzędzia pospolitego użytku przejrzeć gruntownie, ponieważ możliwym jest odkrycie na nich dających się zbadać śladów dawnego ich zastosowania. Tycze się to przedewszystkiem żarn i przyborów do mielenia zboża, płytek do wygładzania i t. d., wreszcie kamieni z ognisk, które tak często znajdujemy na pierwotnym miejscu ich używania. Wszystkie te przedmioty trzeba koniecznie zbadać dokładnie, nim

¹⁾ W pewnym znalezisku w Tyrolu znalazłem w małej urnie, obok kilku zwęglonych ziarn pszenicy i prosa, trochę nasion wyki; główną zawartość jednak stanowiła zbita w grudki ziemia, którą wysuszyłem aż do nadania jej stałej wagi, a następnie wyzarzyłem. Strata na wadze wynosiła 20 — 35% i daje się po większej części objaśnić spaleniem części organicznych ziemi. W pozostałości znalazły się liczne łupinki krzemionkowe komórek naskórka łuski z ziarn pszenicy i prosa.

poddamy je oczyszczeniu, a więc zwracać należy uwagę na pęknięcia, szczeliny i wszelkie zagłębienia i zawsze przechowywać próbki wydobyte z takich miejsc ziemi. Jeślibyśmy nareszcie rozciągnęli badania mikroskopowe na wszystkie takie przedmioty, których użytek i przeznaczenie nie są jeszcze dla nas zrozumiałe, moglibyśmy nieraz zdobyć cenną wskazówkę kosztem niewielkiego trudu.

W osadach nawodnych trafiają się często w wielkiej obfitości odchody kozy i owcy; ponieważ te zwierzęta często bywają żywione odpadkami strawy ludzkiej, przeto ich odchody winny być dokładnie zbadane. Jeszcze ważniejsze są trafiające się o wiele rzadziej ekskrementy ludzkie, które szczególnie wtedy mogą być jako takie rozpoznawane, jeżeli złożone są z nasion, np. z ziarn maliny, pestek lubaszki, albo też z ości i łusek rybich. Podobne składniki należy, po zauważeniu ich, z możliwą ostrożnością oddzielać od całej masy, ponieważ ta właśnie masa stanowi najcenniejszą część w tego rodzaju badaniach¹⁾. Takie ślady człowieka, mające pierwszorzędną wartość naukową, może dałyby się też odnaleźć w najstarszych jaskiniach mieszkalnych, a w kjökkenmöddingach można odnalezienie ich prawie z pewnością przepowiedzieć.

Również obiecują powodzenie badania ziemi w grobach w obrębie jamy brzusznej; ziemię z takiego miejsca wydobytą najlepiej jest brać rurką szklaną, z obu końców otwartą, gdyż tym sposobem nie tylko z łatwością zabiera się próbkę ziemi w porządku nienaruszonym, ale jeszcze zyskujemy możność rozpoznania przez ściankę szkła uwarstwienia tej ziemi.

Gdyby się przytym znalazły w szkielecie wypróchniałe zęby, to ich zawartość również zasługuje na rozpoznanie.

O sposobie wykonywania pracy nad takimi resztkami, o najpraktyczniejszym sporządzaniu preparatów — trudno jest coś pewniejszego powiedzieć, a to z powodu wielkiego braku materiału do takich badań. Jest to już obowiązkiem badacza, obeznanego z botanicznymi pracami mikroskopowymi, jak również badacza artykułów spożywczych — wskazać w każdym wypadku najodpowiedniejszy sposób preparowania (ług potasowy, kwasy, amonjak), a szczególnie badania popiołu, sporządzania cienkich płytek oszlifowanych i t. d.

Przełożył E. M.

¹⁾ Porównaj tegoż autora: „Untersuchung menschlicher Excremente aus Pfahlbauten der Schweiz“. (Correspondenzbl. d. d. G. f. Anthrop., Ethn. u. Urgesch., r. 1900, str. 59). W pracy tej podaje Netolitzky dokładny przebieg badania, które, jako wzór pracy w tym kierunku, możemy polecić interesującym się mikroskopowymi badaniami przedmiotów przedhistorycznych.

Przypisek tłumacza.

WIEŚ MNICHÓW

(W POWIECIE JĘDRZEJOWSKIM).

Opisał Wacław Józef Jaskłowski,

Stud. Uniwersytetu.

(Ciąg dalszy.)

Młodzież, udająca się na robotę do Dąbrowy lub Częstochowy, pozostaje tam tylko do czasu ożenienia się, po którym osiada w miejscu, porzucając fabryki na zawsze: wyjątek stanowią dwaj górnicy, którzy spędzają większą część roku w kopalniach, a powracają tylko na żniwa oraz święta Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia do żon, mieszkających w Mnichowie.

Mnichowianie przywiązują się bardzo do ojczystej wioski i wracają zawsze po pewnym przeciągu czasu. Dwuch tylko mamy takich, którzy opuścili Mnichów bezpowrotnie, a obaj byli i zostali porządnymi ludźmi.

Praca w polu należy do ulubionych zajęć Mnichowian. Własnemu gospodarstwu oddają się z nadzwyczajnym zamięłowaniem. Biorą chętnie w dzierżawę grunty dworskie, płacąc po 12 rb. za mórg.

W gospodarstwie każdy ma swój wydział. Najcięższe roboty spoczywają na gospodarzu lub dorosłym synu. Do zajęć kobiety należy siew, uprawa lnu, pielienie, okopywanie kartofli i kapusty, suszenie siana, żniwo, nakładanie i rozrzucanie nawozu, chów nierogacizny i drobiu, dojenie krów, przeróbka nabiału i przygotowanie pożywienia wszelkiego rodzaju, wreszcie mielenie zboża na żarnach.

Kobiety mają więcej zamięłowania do gospodarstwa, niż do igły: większość nie umie szyć. Haftowanie i roboty szydełkowe znajdują kilka zwolenniczek między dziewczętami. Do zajęć zimowych należy darcie pierza i przędzenie lnu, odbywające się bez pomocy kołowrotka, t. j. na prząśnicach. Płótna w domu nie wyrabiają. Pranie bielizny i bielenie chałup odbywa się prawie co tydzień. Piorą na ławach u studni przy pomocy „kijanek;“ używają przytym dużo farbki. Wyłącznym zajęciem dzieci jest pasterstwo: młodsze do lat 12 pasają gęsi, starsze — bydło.

Jak widzimy, cała uwaga w gospodarstwie włościańskim skierowana jest na produkcję żywności.

Bogatych włościan niema tu wcale; względnie zamożnych spotykamy rzadko. Zajrzyjmy tylko pod strzechy, a przekonamy się, jaka tam panuje nędza: brak przedmiotów pierwszej potrzeby, dzieci obdarte i głodne, odzież starszych w samych łatach. W domu nie raz niema ani kawałka chleba; kartofel stanowi jedyne pożywienie.

ROZDZIAŁ VI.

Charakter i inteligencja.

Lekkomyślność. — Ciekawość. — Wiadomości z rozmaitych nauk. — Zamiłowanie do podróży. — Gościnność. — Bystrość umysłu; różnica intelektualna między gospodarzami a komornikami. — Nieporządek. — Brak poszanowania cudzej własności. — Pojęcia o własności. — Wpływ serwitutów na szkoldnictwo. — Rozboje. — Kradzież w świetle opinii publicznej. — Obawa więzienia. — Stosunek Mnichowian do złodziei. — Odwaga. — Krewkość.

Dziwny kontrast z całym otoczeniem stanowią mieszkańcy; zdawałoby się, iż ciężkie warunki życia powinny odcisnąć na nich swoje piętno; tymczasem nikt nie zdołałby odnaleźć śladów przynębienia. Mnichowianina cechują żywość temperamentu i wesołość, ako główny podkład charakteru; drwi on sobie z własnej biedy, spotyka wszelkie przeciwieństwa z pogodnym czołem, nie przejmując się nigdy troską. Wszystko to wzięte razem czyni go lekkomyślnym; na tle tej lekkomyślności zrodziły się wady i zalety tutejszego ludu. Brak systematyczności daje się odczuwać na każdym kroku. Włościanin, składający częstokroć dowody niepospolitej energii, pracujący za dwóch, gdy go okoliczności zmuszają do tego, niezdolny jest do wytrwałej a systematycznej pracy. Pracuje z nadzwyczajną werwą, śpieszy się zawsze, ale też odpoczywa bardzo często, a dokładność roboty wiele pozostawia do życzenia. Praca jest mu tym przyjemniejszą, im większe grono bierze w niej udział.

Mnichowianin jest bardzo towarzyski i chciwy wszelkich wiadomości o tym, „co-ta we świecie słyhać“. Żaden ważniejszy wypadek z polityki europejskiej nie przejdzie tu niespostrzeżony. Wojna z Chinami i wojna Burów z Anglikami budziły żywe zainteresowanie, zwłaszcza ta ostatnia. Ma się rozumieć, że sympatje były po stronie Burów.

Nie czytając pism, włościanie otrzymują o wypadkach politycznych wiadomości ogólnikowe, które objaśniają po swojemu; tak np. zatargowi z Chinami nadają koloryt religijny: Europa miała występować w obronie wiary chrześcijańskiej.

Z nauk najwięcej interesuje ich astronomja, od której oczekują przepowiedni pogody, upatrując w niej pewien związek z odmianami księżyca. Znają dwanaście głównych konstelacji, wiedzą o ku-

listości ziemi. Powstawanie deszczu tłumaczą tak: chmury nabierają wody z morza za pomocą tęczy.

Z geografji mają też nieco wiadomości. Punktem wyjścia jest dla nich kraj tutejszy, o którym wiedzą, że nie dochodzi do morza; położenie jego służy za podstawę do ocenienia odległości innych krajów w Europie.

Niedokładne wiadomości z geografji kraju rodzinnego rozszerzają nieco podróże, odbywane przeważnie pieszo, a zaliczane do przyjemności. Mnichowianin zna doskonale okolicę w promieniu kilku mil, wielu zwiedziło całą okolicę aż do granicy austriackiej. Znajdują się i tacy, którzy odbywali dalsze podróże. Jeden z nich chodził nawet w odwiedziny do krewnych, mieszkających w Warszawie, odległej o dwadzieścia kilka mil. Na koszty podróży przeznaczył złotówkę. Pieniądze te okazały się zbyt czynnymi, gdyż włościanie ofiarowywali mu wszędzie nocleg i pożywienie. Gościnność taka nie zadziwiła wcale Mnichowian, poczytujących przyjmowanie podróżnych za obowiązek, od którego nie uchylają się nigdy.

Wrażenia z podróży nieprędko się zacierają, dostarczają tematu do rozmowy i wpływają na rozjaśnienie umysłu. Mnichowianin orientuje się doskonale nawet w dużym mieście. Droga przebyta raz jeden długo pozostaje mu w pamięci.

Wiadomości z historii przechowują się w formie tradycji, sięgającej niewiele poza epokę Napoleona. Słyszeli o jego zwycięstwach i nieszczęśliwej wyprawie w roku 1812, w której armja jego wymarzała: Napoleon utopił się w Wiśle, nie chcąc przeżyć klęski. Z poprzedniej epoki wiedzą nieco o Kościuszcze, a nowsze dzieje znają z opowiadania swych ojców, którzy odbyli kampanję 1831 r.

Mnichowianie rozmawiają bardzo chętnie, a nie braknie im do tego zdolności; rozmaite zdarzenia opowiadane są treściwie i barwnie. Przy spostrzegawczości mają dowcip, umieją więc uchwycić słabe strony rozmaitych osób i ośmieszyć je. Naśladują doskonale ruchy i mowę Żydów i żołnierzy, wprawiając się do tego od lat dziecińczych. Odtwarzanie wypadków z ostatniej doby stanowi ulubioną zabawę dzieci.

Mowa ludu obfituje w przysłowia i rozmaite trafne porównania, których przytoczę kilka dla przykładu. O niezręcznej robocie mówi: „kieby nogami robiono“; o rzeczy dobrze ukrytej: „kieby bez wodę przejechał“; o wiadomości wątpliwej: „na wodzie pisano“. Do

przystół powszechnie używanych należą: „Co wie Grześ, to i cała wieś;“ „Jak kogo stać, tak go znać.“

(Osobliwości słownictwa załączam w końcu pracy niniejszej.)

Mnichowianie nie odznaczają się wogóle zamięłowaniem do porządku, więc i w chatach jest brudno. W podwórzu grzęźnie się po kolana w błocie, pochodzącym od porozrzucanego nawozu, którego wyziewy zatruwają powietrze. Z czystością ciała bywa rozmaicie; najczęściej jeszcze dbałości o nią okazują dziewczęta, bo są zawsze umyte, uczesane i czysto ubrane, czego nie można powiedzieć o starszych kobietach. Dzieci są brudne i zaniedbane; z nieporządku wiją im się na głowach koltuny, których obcinanie ma sprowadzać choroby. Niezachowywaniu najelementarniejszych przepisów higieny przypisywać należy grasowanie chorób epidemicznych (ospa i szkarlatyna).

Najgłówniejszą wadą moralną tutejszych włościan jest brak poszanowania cudzej własności. Panują tu jeszcze szczątki pojęć, wykwitłych na tle rodzinnego komunizmu, a biorących początek w tych czasach, kiedy fakt zajęcia ziemi i włożona w nią praca dawały prawo posiadania; wszelkie grunty nieużytkowe poczytywane były przeto za *res nullius*. Mnichowianie sądzą, że lasy i łąki są darem przyrody, z którego wszyscy mogą korzystać; wszelkie przeszkody w tym względzie uważają za niesprawiedliwość. Prawo własności prywatnej nie rozciąga się też na ryby, ani na zwierzynę, podobnie jak na wróble, gnieźdzące się pod strzechą. Kradzieże ryb w stawach dworskich zdarzają się rzadko, ale są zjawiskiem powszednim w rzece Nidzie.

Od wypasania łąk i niszczenia lasu powstrzymują włościan jedynie znaczne kary pieniężne. Najuczciwszy człowiek idzie do lasu dworskiego z czystym sumieniem łamać gałęzie na opał.

Ludzie, wypasający łąki i niszczący zagajniki, nie robią szkody w zasiewach. Włościanin, zapytany, czy będzie pasł w zagajniku dworskim, odpowie, że nie zrobi tego z obawy, aby gajowy go nie zobaczył; tenże sam człowiek, zapytany, czy nie ukradłby pierzyny, odpowie z oburzeniem, że nie jest złodziejem. Na zagmatwanie się pojęcia własności wpłynęły do pewnego stopnia służebności, które, nie będąc ściśle określone, dawały powody do nadużyć. Dowodem tego jest chociażby okoliczność, że włościanie częściej robią szkody temu dworowi, na którego gruntach zostali uwłaszczeni, niż sąsiadom. Nie zdarzało mi się nigdy słyszeć, żeby Wygodzianie miewali jakie-

kolwiek zatargi z właścicielem sąsiedniego majątku, którego lasy zaczynają się tuż pod Wygodą. Toż samo można powiedzieć o innych wsiach.

Według tutejszych pojęć znalezienie przedmiotu daje prawo do posiadania tegoż, więc znalazca nie jest obowiązany do zwrotu. Za to przedmiotów, danych na przechowanie lub zostawionych przez zapomnienie, nie wolno sobie przywłaszczać.

Znaczniejsze przestępstwa, tj. grabieże i rozboje, grasowały tu przed 10-ciu laty, ale dziś zdarzają się rzadko. Z parafji tutejszej wywieziono do Syberji ogółem 8 przestępców, a w tej liczbie jedną kobietę za otrucie męża. Przestępstwa zdarzają się przeważnie wśród najmniej liczniejszej ludności, tak zwanych „gospodarzy;“ do tej kategorii należeli wszyscy wywiezieni na Sybir. Najgorszymi instynktami wyróżniają się ludzie młodzi do lat trzydziestu, pozostający przy rodzicach; na nich też ciążyą wszelkie zarzuty i podejrzenia.

Pomimo częstych wykroczeń przeciwko własności, zwyczaj miejscowy nie sankcjonuje kradzieży, przeciwnie, wywołuje ona oburzenie powszechne i ściąga pogardę na poszlakowanych, choćby ci nigdy nie siedzieli na ławie oskarżonych.

Odsiadywanie więzienia za kradzież jest hańbą i wzbudza postrach. Niejeden wolałby stracić cały majątek, niż przesiedzieć 6 tygodni w „kryminale“ chęcińskim. Jeden z włościan tutejszych, schwytany przez Żydów na kradzieży drzewa, oddał im kilkaset rubli ciężko zapracowanych, stanowiących cały jego majątek, aby uniknąć więzienia. Inny, schwytany na kradzieży ryb w stawie dworskim, zapłacił w ten sam sposób 150 rb. Areszt w „kozio“ gminnej wzbudza o wiele mniej obawy, jest on uważany tylko za nieprzyjemność i nie hańbi. Przypuszczam, że działa tu przyzwyczajenie: prawie wszyscy Mnichowianie „odsiadywali kozę“ za szkody, wyrządzane dworowi; każdy z nich woli areszt, aniżeli niewielką choćby karę pieniężną.

Nie pochwalając kradzieży i uznając potrzebę kary za przestępstwo, włościanie gotowi zabić na miejscu złodzieja, złapanego na gorącym uczynku; ale jeśli ich nie okradnie, nie wydadzą go nigdy w ręce sprawiedliwości. Wszelkiego rodzaju ludzie podejrzani, włóczący się po tutejszych lasach, znajdują tu bezpieczne schronienie. Przed pięciu laty przebywał tu głośny z rozbojów Malarski. Znali go wszyscy, widywali często, lecz nie wydawali: szkody im nie robił, płacił dobrze za furmanki, więc i pretensji do niego nie mieli.

Odwaga cechuje Mnichowian, walka z niebezpieczeństwem ma dla nich urok. Fakty z ich życia świadczą o tym wymownie. Czyż można wątpić o męstwie człowieka, który z kijem w ręku stawia czoło trzem przeciwnikom, uzbrojonym w rewolwery, i nie bacząc na otrzymane rany, odbiera im uprowadzone bydło, by je zwrócić nieznanemu właścicielowi, lub człowieka, który z płonącego domu ratuje dziecko, albo starą kobietę. Kilku Mnichowian zginęło w ten sposób w płomieniach.

ROZDZIAŁ VII.

Belgja i moralność.

Niepojmowanie zasad chrystjanizmu. — Formalizm. — Tradycje pogańskie w zastosowaniu do religji chrześcijańskiej. — Inne zabobony. — Wpływ religji na moralność. — Czystość obyczajów i pracowitość.

Pojęcia moralne Mnichowianina, stojącego jeszcze na niskim stopniu kultury, nie oddziałują na jego wolę w tym stopniu, żeby okiełznać jego namiętności i utrzymać go na drodze obowiązku. Brak podstaw moralnych mogłaby zastąpić religja, musiałaby ona jednak być czymś więcej, niż zbiorem formuł i ceremonji: musiałaby być zrozumiane zasady i ideały chrystjanizmu, obce, niestety, tutejszym włościanom. Ich religijność uderza martwym formalizmem: główny nacisk kładą na obrzędy i praktyki zewnętrzne, po za którymi nic nie zostaje. Przepisy o postach, święceniu niedziel, codziennych modlitwach — bywają tu wypełniane ściśle; wykroczenia przeciwko nim poczytywane są za ciężkie grzechy, zdarzają się więc rzadziej, niż występki. Modlitwa nie jest wzniesieniem myśli do Boga, jest to tylko połączenie niezrozumiałych dźwięków; sposób, w jaki ją odmawiają, nie pozostawia najmniejszej o tym wątpliwości: pauzy i zmiana intonacji w połowie wyrazów dowodzą absolutnego niepojmowania treści. Katechizm odgrywa rolę nie kodeksu moralności, lecz zbioru formułek, które trzeba umieć, gdy przyjdzie dać na zapowiedzi. Nie będąc ascetą, Mnichowianin zachowuje wszelkie pozory nabożnego człowieka: imię Boga wymawia z nadzwyczajną czcią; słowa: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ — służą za przywitanie i pożegnanie. Chcąc wyrazić, że cokolwiek bądź jest jego własnością, włościanin powiada: „Najpierw Boskie, a później moje.“ Zawiesza ściany „świętymi“ obrazami: miewa w domu po kilka butelek wody święconej; należy do dwóch Rożań-

ców; chodzi do Częstochowy co dwa lata, nie zaniehbując też okolicznych odpustów.

Sfera wierzeń religijnych obfituje w pozostałości z czasów pogaństwa: chrystjanizm nie zdołał tu wykorzenić dawnych pojęć, lecz sam uległ przeobrażeniu pod ich wpływem. Są one nacehowane antromorfizmem. W błękitnym niebie, gdzieś za chmurami, mieszka Bóg, gromiący piorunami nieposłusznych, a mający te same upodobania, co i ludzie: lubi śpiew, muzykę i towarzystwo, otacza się więc grającymi, śpiewającymi aniołami i świętami. Święci mają swoje artrybucje: każdy z nich jest patronem pewnego fachu lub miejscowości, oddanej pod szczególną jego opieką. W niebie panuje nadzwyczajna jasność: dowodem tego błyskawice, pochodzące od blasku, jaki rzuca niebo, otwierające się podczas burzy, kiedy Bóg miota pioruny na tych, co wywołali Jego gniew. Człowiek nie jest mocen ugasić pożaru, wynikłego z pioruna, lubo akcja ratunkowa nie jest grzechem, gdyż Stwórca jest zbyt potężnym, ażeby ktokolwiek mógł przeszkodzić jego zamiarom. Bóg karze ludzi i w inny sposób: osadził dwoje z nich na księżycu, skazując ich na wieczną robotę za oddawanie się pracy zarobkowej w święto Bożego Narodzenia; tam stoi chłop, uzbrojony w widły, któremi nakłada nawóz, kobieta robi masło.

Przy normalnych warunkach ludzie stają na sądzie Boskim dopiero po śmierci; sąd ten odbywa się w niebie, a potępieni schodzą do piekła po drodze mlecznej. Piekło znajduje się gdzieś pod ziemią: żar tam jest tak wielki, że człowiek upiekłby się w odległości siedmiu mil; goreje tam wieczny ogień, mający tę własność, że nie daje światła. Piekło jest miejscem kary wiecznej, zamieszkiwanym przez diabłów, pojawiających się i na ziemi.

Ponieważ nie należy wspominać djabła, ażeby go nie wywołać, zastępują więc ten wyraz przymiotnikiem „zły“. Djabieł ukazuje się od czasu do czasu stale w niektórych miejscach: we dworze widziano ich w roku zeszłym dwunastu. „Straszny“ także na polu, zwanym „kościółkiem“, skąd i konie uciekają wśród nocy. Dusze geometrów, pokutujące na świecie, przybierają postać błędnych ogników. Uprzywilejowaną porą duchów jest noc.

Niektórzy ludzie miewają stosunki z djabłem i przy jego pomocy wyrządzają innym rozmaite szkody czarami. Przeciwko czarom może pomóc tylko zażegnywanie. Władzę tę posiadają czarownicy. Zażegnywanie odbywa się zwykle o wschodzie i zachodzie słońca; polega ono na cichym wymawianiu pewnych tajemniczych wyrazów,

trzykrotnym chuchaniu i żegnaniu. Cała ceremonia powtarza się trzy razy. Na tym polu spotykamy specjalizację w całym tego słowa znaczeniu: jedni zażegnują łuszczkę, inni różę, tamci kołtuny i t. d. Procederem tym zajmują się najczęściej owczarze lub ich żony. Najlicniejszą klientelę w tych stronach ma owczarz, mieszkający we Łścinie, do którego chorzy schodzą się z dalekich stron. Wpływ czarowników na mleczność i choroby krów także nie ulega wątpliwości. Można też czarami przeszkadzać ludziom w robocie; tego potrafi dokazać tylko czarownik specjalista w danej gałęzi.

Czarownicy są wogóle ludźmi niebezpiecznemi, których należy ułagodzić datkiem. „Zadawanie czarów“ różni się zasadniczo od „rzucania uroków“, w którym zła wola osobnika nie bierze udziału. Własność urzekania mają oczy niektórych osób, zwłaszcza tych, które w dzieciństwie dwa razy były odstawiane od piersi: urok rzucony może być przyczyną rozmaitych wypadków, a nawet śmierci. Zniweczyć jego działanie można za pomocą „odczyniania“. Sztuki w tym niema żadnej, każdy potrafi tego dokonać: cała manipulacja polega na wrzuceniu 9-u żarzących się węgli i tyluż kawałków chleba w naczynie z wodą; część jej należy wypić, resztę zaś wylać, spluwając trzy razy. Urok, rzucony na bydło lub konie, odczynia się, wycierając chore stworzenie ubraniem męskim—jeśli urzekł mężczyzna, kobiecem zaś—jeśli urzekła kobieta; trzec należy od łba do ogona, nigdy pod włos.

Istnieje też wiara w siłę przekleństwa, zwłaszcza pochodzącego od rodziców. Wiarę tę spotęgował fakt następujący: Syn jednego z tutejszych gospodarzy, nazwiskiem Kwiecień, naraził się czymś ojcu, który go przeklął. Okoliczności tak się złożyły, że syn ów został zabity w kilka dni później, przy pracy w kopalni.

Oto garść t. zw. przesądów:

- 1) Grzechem jest *bić ziemię*, ponieważ ona żywi człowieka.
- 2) Deptanie, rzucanie i wszelkie niszczenie chleba ściągają gniew Boży. Był czas, kiedy łodygi zboża całe pokryte były kłosami; chleba było wtedy tak dużo, że pewna kobieta wyrzucała go w śmiecie. Rozgniewany tym Bóg odebrał ludziom dar sponiewierany, ale Matka Boska chwyciła ręką za kłos i ocaliła część jego dla ludzkości.
- 3) Zmory, napastujące śpiących i wysysające z nich krew, są w każdej rodzinie, złożonej z siedmiu córek; z siedmiu żyjących siostr jedna zostaje zmorą.

4) Mamuna jest istotą, podobną do kobiety z olbrzymią głową; porywa ona małe dzieci jednym, a podrzuca je innym.

5) Woły przemawiają ludzką mową w wigilię Bożego Narodzenia. Człowiek, któryby usłyszał ich mowę, umrze niebawem.

6) Słyszac dzwon pogrzebowy, należy przestać jeść, żeby zęby nie wypróchniały.

7) Silny wiatr powstaje, gdy się kto powiesi.

8) Umarłemu zamykają oczy, aby nie pociągnął wzrokiem kogo za sobą na tamten świat.

9) Człowiek powinien nosić w zanadrzu obcięte paznokcie, żeby ich nie szukał po śmierci.

10) Włosy ostrzyżone należy rzucać w ogień, żeby ich ptak nie użył na gniazdo, gdyż to sprowadza ból głowy.

11) Wierzą w sprawdzanie się snów w przenośni: ogień, widziany we śnie, jest przepowiednią kradzieży, groch przepowiada zmartwienia i t. p.

12) Wpatrywanie się w płonący ogień zaleca się w żółtaczce.

Z wierzeń i obrzędów na tle religijnym zapisaliśmy następujące:

1) Trzymanie do chrztu nieprawego dziecka przynosi szczęście.

2) Ziarno przed rozpoczęciem siewu skrapiają wodą święconą. Wody tej używają też do gaszenia pożaru; również wystawianie obrazów na dachu odwraca ogień od budynków.

3) Święcona kreda ma szerokie zastosowanie przeciwko bolowi gardła i wrzodom, na których nakreślają krzyże.

Pośrednikiem między Bogiem a ludźmi, oraz tłumaczem woli Bożej, jest ksiądz, którego powaga i wpływ zależą od taktu i zalet osobistych, jakkolwiek już ze stanowiska swego ma prawo do szacunku. Należy do niego piecza nad stroną moralną parafji. Słowa kapłana działają o wiele więcej od przykazań religji, jeśli potrafi wziąć się do tego.

Gorliwej pracy obecnego proboszcza zawdzięczać należy zmniejszenie się kradzieży i pijaństwa, tych największych plag wiosek naszych, o czym już wspominaliśmy.

Religia stoi tu na straży czystości obyczajów; ona ochrania związki rodzinne, będące w wielkim poszanowaniu.

Dziewczęta nie używają w Mnichowie nieograniczonej swobody: opinia publiczna i rodzice rozciągają nad niemi baczny dozór. Podejrzewane o przygody miłosne tracą nadzieję prędkiego zamążpójścia i prawo do szacunku. Wszelkie zaś fakty, potwierdzające słusność

podejrzenia, stawiają je pod pręgierzem opinii i zmuszają do opuszczenia wioski rodzinnej, bo nawet rodzice wyrzucają zniesławioną córkę z domu. Godnym jest uwagi, że do nielicznej kategorii uwiedzionych należą najbrzydsze dziewczyny.

Mężczyźni nie poczuwają się do żadnych obowiązków względem uwiedzionych dziewcząt i nie zaślubiają ich nigdy. Żaden z nich nie ożeniłby się z kobietą, o której obyczajach mógłby powątpiewać. Cnotę niewieścią mają w wielkiej cenie. To też Mnichowianki odznaczają się wielką skromnością: słowa nieprzyzwoitego, piosnki lubieżnej nikt tu nie usłyszy. Dziewczęta są jednakże bardzo zalotne, dbają o swoją powierzchowność, lubią towarzystwo i zabawy z młodzieżą.

Drugą zaletą, niezbędną do zamełcia, jest pracowitość. Panny na wydaniu dorównywiają pod tym względem mężczyznom, którym trzeba przyznać, że są bardzo pracowici.

ROZDZIAŁ VIII.

Stosunki rodzinne, sąsiedzkie i społeczne.

Zawieranie małżeństw.—Posag.—Położenie kobiety w rodzinie. — Stosunek rodziców do dzieci.—Wychowanie i jego dobre strony. — Patryjarchalny stosunek chlebodawców do służących.—Dobroczynność.—Rozrzutność. Wstręt do procesów. — Poczucie solidarności.—Szacunek dla starszych.—Obojętność na sprawy samorządu gminnego.—Kredyt włościański.

Małżeństwa zawierają w młodym wieku: kobiety w latach 16—20, mężczyźni po powrocie z wojska. Głos decydujący w tych sprawach mają zwykle rodzice; bywa to częstokroć źródłem nieszczęśliwego pożycia. Dziewczęta energiczniejsze reagują przeciwko bezwzględnej woli rodziców i odrzucają wybór, nie odpowiadający ich skłonnościom.

Przy zawieraniu małżeństwa kwestja posagu żony zajmuje miejsce najpierwsze; posag przechodzi w posiadanie męża. Wyłączną własność żony stanowi wyprawa, na którą składa się: pierzyna, skrzynia i krowa. Układy majątkowe są załatwiane przed ślubem. Zięć otrzymuje posag w gotowiznie lub w naturze. Włościanin, posiadający sporo gruntu, wydziela z niego część zięciowi; posiadacze parcel, nie dających się podzielić, przyjmują zięciów do swoich domów, gdzie oni wspólnie pracując przy uprawie gruntu, otrzymują mieszkanie i utrzymanie dla siebie i swego dobytku. Zapisują też dzieciom

grunty kontraktem fikcyjnej sprzedaży z zastrzeżeniem dożywotniego posiadania dla siebie. Zapisy tego rodzaju mają tę dobrą stronę, że nie oddając rodziców na łaskę i niełaskę dzieci, zapewniają tym ostatnim posiadanie gruntów, w które wkładają swoją pracę, a nawet i oszczędności. Młodsze rodzeństwo bywa przytym pokrzywdzone: otrzymuje ono niewielką spłatę, a nieraz zgoła nic. Kobiety nie znajdując w małżeństwie upragnionego szczęścia. Pierwszy rok po ślubie jest dla nich najcięższy: doznają one wtedy niemal przykrości od zazdrosnych i chciwych władzy małżonków. W następnych latach panuje już większa harmonja: mąż przywiązuje się do żony, ona staje się też łagodniejszą i potulniejszą. Uznana w zasadzie przewaga mężczyzny zmusza kobietę do ulegania mężowi. Przypnać trzeba, że małżonkowie nie nadużywają swojej władzy: bicie żony, poczytywane zresztą za zupełnie legalne i etyczne, zdarza się bardzo rzadko, najczęściej pod wpływem alkoholu, przeważnie w pierwszych latach pożycia, kiedy mąż poczuwa się do obowiązku uzupełnienia wychowania swej połowicy. Z biegiem czasu żona wyzwala się coraz więcej z pod władzy męża i sama zaczyna nim rządzić.

Macierzyństwo przyczynia się bezwarunkowo do podniesienia znaczenia kobiety. Ojciec i matka mają jednakową władzę nad dziećmi, ustającą dopiero z chwilą, kiedy dziecko porzuca ich dom; dopóki córka zamężna mieszka z mężem przy rodzicach, jest przez nich traktowana na równi z małoletnią. Znaczenie rodziców upada z chwilą, gdy przechodzą na utrzymanie dzieci.

Wychowaniem dzieci zajmuje się matka, dopóki nie nauczą się chodzić; od tego czasu hodują się same, a opieka rodziców zasadza się na obowiązku żywienia i okrywania, dozorowanie bowiem dzieci uważają za zbyteczne. Śmierć małego dziecka nie wywiera silnego wrażenia na rodzicach: mówią w takim razie z rezygnacją filozoficzną: „Bóg dał, Bóg wziął“ Matka polamentuje i wkrótce zapomni. Natomiast głęboko odczuwają stratę dziecka, które już zaczyna pracować, gdyż w tym razie śmierć wyrządza też stratę materialną, zabierając parę rąk roboczych.

Dzieci zaczynają pracować bardzo wcześnie: 6-letnie już pasają gęsi, a do posług domowych używają ich nawet wcześniej. System wychowania jest prawdziwie spartański: rodzice nie dbają o wygodę dzieci, wymagają natomiast od nich bardzo wiele i karzą surowo. Takie wychowanie ma swoje dobre strony, przy jego bowiem pomocy przeprowadza się rodzaj doboru naturalnego: słabsze organizmy gi-

ną, pozostają tylko jednostki zdrowe i wychodzą zahartowane. Dlatego też niema niewygód dla tutejszego włościanina, przyzwyczajonego odbywać dalekie podróże o suchym kawałku chleba, poczytującego drewnianą ławę za wygodne łoże. Zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy, przeszedłszy osiem mil do południa, potrafili orać przez resztę dnia po dwugodzinnym odpoczynku. Dola sieroca nie jest także zbyt ciężka dla dzieci, nie przyzwyczajonych do pieczyt macierzyńskich: przygarną je sąsiedzi i dając im utrzymanie, korzystają z ich pracy. Rozmawiałem z czternastoletnią dziewczynką, która jest od dwóch lat sierotą i służy u człowieka, znanego ze skąpstwa, i dowiedziałem się ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że jej teraz lepiej, niż za życia rodziców.

Włościanie obchodzą się wcale dobrze ze służbą, traktują ją, jak krewnych, dzielą się z nią każdym kawałkiem chleba i nie nadużywają swego zwierzchnictwa. Niemniej ludzkim jest Mnichowianin dla żebraków, których pięciu mieszka w parafji; są to wszystko ludzie starzy, nie mający już sił do pracy. Dwóch z nich pochodzi z innych stron, i widać dobrze im w Mnichowie, skoro się tu osiedlili. Mieszkańcy sąsiedniej wioski Mzurowej wystawili nawet chałupę dla jednego z nich.

Żebracy, chodzący od wsi do wsi i od miasta do miasta, roznoszą wszelkie wiadomości, zastępując do pewnego stopnia gazety. Jałmużna najczęściej udzielana bywa w naturze: gospodarz woli dać działowi garniec zboża, niż trzy grosze. Może to służyć za dowód wysokiej wartości pieniądza.

Włościanin nie odłuża nigdy ziemi, ale lasy zostały wyniszczone w krótkim przeciągu czasu. Wszelki grosz, otrzymany jako dochód z ziemi, rozchodzi się natychmiast; gdy go nie wystarcza, Mnichowianin utrzymuje siebie i rodzinę z zarobków, narażając się przytym na głód i nędzę. Mieszkaniec tutejszy, odmawiający sobie wszystkiego w życiu codziennym, wydaje nieproporcjonalnie dużo przy uroczystościach rodzinnych: na wesele służący dworski, otrzymujący 12 rb. rocznej pensji, wydaje 50 rb., chrzciny kosztują go 15 rb. Włościanie nie żałują też pieniędzy na inne przyjemności, do których należą odpusty i jarmarki; poczęstunki w tych razach są zwyczajem obowiązującym.

Stosunki sąsiedzkie w Mnichowie nie są bynajmniej idealne: ważniejsze zatargi załatwiane bywają nieraz bardzo zgodnie, natomiast drobiazgi dają powód do nieporozumień. Jakkolwiek każdy ma

swój dział pastwiska, wszyscy pasają bydło razem, unikając w ten sposób zatargów o granicę; ale niech tylko kto zacznie grodzić własne podwórze, natychmiast zjawiają się sąsiedzi i próbują mu przeszkodzić. Niedawno wynikła gruba awantura z tego, że jeden z włościan przybrał sobie łokieć pastwiska, a raczej placu gromadzkiego, pod ogródek, aby mu nie zrywano owocu z drzew, których gałęzie zwieszały się z za płota.

Mnichowianin niechętnie udaje się do sądu, woli on sam sobie wymierzać sprawiedliwość. Bijatyki zdarzają się często, ale procesy należą do osobliwości. Sprawy karne przeciw włościanom prowadzone są przeważnie ze strony dworu o szkody w lesie. Sprawy z dworem, nawet odsiadywanie „kozy“ za szkody, nie przynoszą ujmy. Chwilowe nieporozumienia nie pozbawiają włościan ducha jedności, przejawiającego się w obronie wspólnych interesów przeciwko dworowi. Żaden Mnichowianin nie przyjmie miejsca gajowego, jakkolwiek posada ta jest intratniejsza od innych obowiązków, bo musiałby występować przeciwko swoim. Jedyny polowy miejscowego pochodzenia poczytywany jest niemal za wyrzutka społeczeństwa; ojciec go wydziedziczył.

Wyrazem szacunku dla wiekowych jest całowanie po rękach przy przywitaniu i pożegnaniu i dwojenie w mowie, obowiązujące nawet najbliższych krewnych.

Zadziwiającym jest, że lud tutejszy, interesujący się wszystkim, co się koło niego dzieje, patrzy obojętnie na sprawy, wchodzące w zakres samorządu gminnego. Urząd wójta nie nęci nikogo, wkłada bowiem wielką odpowiedzialność; zajmują go ludzie, nie odznaczający się rozumem, często nawet analfabeci. Sołtysostwo, chociaż mniej dochodne, znajduje wielu amatorów.

Włościanie nie umieją też korzystać z pozostawionego im samorządu; uczęszczają wprawdzie na zebrania gminne, ale nie przywiązują do nich wagi. Jediną instytucją przy gminie, oddającą im realne usługi, jest kasa pożyczkowo-wkładowa, założona w Brzegach kilkanaście lat temu. Aktywa kasy stanowią: kapitał własny w sumie 1140 rb. i wkłady, wynoszące 500+ rb.

Kasa przyjmuje pieniądze na 6%, wypożycza zaś na 8%; 2%, stanowiące dochód z obrotu, obracane bywają na kapitał żelazny, od którego procenty przeznacza się na pokrycie kosztów zarządu. Kasa mieści się w kancelarii gminnej i zostaje pod zarządem kasjera, wójta i pisarza; ma ona obecnie 500 rb. w remanencie i nowych wkła-

dów nie przyjmuje. Pożyczki są wydawane na zastaw nieruchomości w stosunku 100 rb. na osadę 4-morgową z budynkami, asekurowanymi do wysokości 300 rb. *Maximum* jednorazowej pożyczki wynosi 200 rb. Pożyczka bywa zwracana po upływie 1½ roku; prolongowanie zdarza się rzadko.

ROZDZIAŁ IX.

Stosunek do dworu.

Wspomnienia z czasów pańszczyzny. — Opieka dworu. — Walka o służebności — Zależność ekonomiczna od dworu. — Przywiązanie do „swoich panów“. — Niechęć do oficjalistów.

Najbliższym dla włościan przedstawicielem inteligencji jest dwór. Od niepamiętnych czasów siedział tu możny ród Gryfitów: Mnichowscy herbu Gryf zdołali już w XIII wieku zespolić w jedną całość kilka sąsiednich wiosek i utworzyć tak zwane „państwo Mnichowskie“, odpowiadające dzisiejszej parafii. W XVII wieku dobra te przechodzą z rąk do rąk i dostają się wreszcie w posiadanie Wąsowiczów. Z nich starosta budziszowski położył najwięcej zasług dla Mnichowa: wystawił kościół i przeniósł wieś w miejsce, które dziś zajmuje. Rodzina ta dzierżyła dobra Mnichów do r. 1839 i pozostawiła po sobie bardzo dobre wspomnienia wśród ludu: tradycja wspomina ich, jako sprawiedliwych panów, kochających lud, troszczących się o jego dobro i nie pozwalających przeciążać chłopów robotą, ani batożyć go przyłada sposobności.

Dopiero następny właściciel, baron Karol Larysz z Osieka, zamieszkujący przeważnie w Wiedniu, oddaje wieś w ręce ekonomów. Były to dla włościan ciężkie czasy: każdy z rządów chciał dać odczuć swoją władzę, chłosta była na porządku dziennym; wtedy też powstał demoralizujący system protekcji, do której jedyną drogą były datki. Podania z owych czasów świadczą o nieludzkim obchodzeniu się z wieśniakami: ćwiczano cały dzień jednego z włościan, nazwiskiem Tomasiak, za „porwanie się“ na ekonoma Perzykowskiego. Pańszczyznę włościanie wspominają jako czasy dostatku: gospodarz na 24-ch morgach posiadał wtedy 6 wołów, parę koni i 4 krowy, kilka sztuk owiec i trzody; dzisiaj utrzymuje on parę lichych koni i 4—5 sztuk bydła. Włościanin żywił się też wówczas o wiele lepiej, bił co rok po kilka owiec i parę sztuk trzody na mięso, które dzisiaj jada tylko w święta. W owych czasach z „półrolka“ (24 mor-

gi) odrabiano 3 dni w tygodniu pługiem, zaprzężonym w sześć wołów, lub furmanką parokonną. Zagrodnik (na 12-tu morgach) odrabiał 3 dni piechotą. Gospodarze zajmowali się zwykle własnym gospodarstwem, a posyłali na robotę do dworu służących, których w tym celu utrzymywali. Służący taki otrzymywał od gospodarza wikt, odzież i buty, oraz 12 zagonów owsa i jęczmienia i 30 złp. myta. Dzienna płaca robotnika we dworze wynosiła 25 groszy.

Od czasu uwłaszczenia włościanie są w ciągłych zatargach z dworem, a powodem do tego — służebności. Dwór utrudnia korzystanie z nich wszelkimi sposobami, by zmusić włościan do zamiany na grunty, ci zaś nie umieją się utrzymać w granicach tego, co jest dozwolone. Stąd „zaimki“ (zajęcie bydła ze szkody), fantowanie, częste awantury, a nawet bójki służby dworskiej z włościanami, uciekającymi się nieraz do gwałtu w obronie urojonych praw. Ostatecznie w r. 1893 włościanie zrzekli się służebności, otrzymując wzamian 899 m. gruntu i lasu.

Lud tutejszy w ogólności jest usposobiony przychylnie dla „swoich panów“, przekonany o ich wyższości. Panowie są, podług nich, ludźmi wyższego pochodzenia, lepszej rasy; nabycie majątku nie czyni człowieka „panem“, utrata zaś nie pozbawia go tej godności. Mniuchowianin nazywa „państwem“ dobra ziemskie: „państwo Wodzisławskie“, „p. Motkowskie“ i t. d.

Wyraz „pan“ bez wszelkich dodatków stosuje się tylko do właściciela miejscowego dworu. Synowie jego zowią się „paniczami“ dopóki nie posiadają własnych dóbr, chociażby do lat 50. Zupełnie inne znaczenie ma tytuł „pan“, dawany każdemu nie-włościaninowi. „Dziedzicowi“ okazują nadzwyczajny szacunek, obcowanie z nim poczytują za zaszczyt, interesują się bardzo jego osobą, zgadzają się nawet na swoje „poddanie“, mówiąc, że są „pod nim“, lub „należą do niego“. Zmiany „dziedziców“ służą też za podstawę do obliczania czasu.

ROZDZIAŁ X.

Stosunki z mieszkańcami miast w ogólności.

Brak styczności z inteligencją. — Lecznictwo i medycyna ludowa. — Pojęcie o mieszczanach. — Stosunki z Żydami.

Z inteligencją miejską bardzo mało ma nasz wieśniak styczności: nie zna on jej wcale. To też chorzy udają się częściej do znacho-

rów i czarowników, niż do lekarzy, albowiem według tutejszych pojęć może skutecznie pomóc tylko ten, kto posiada szczególną łaskę Nieba, lub moc, nadaną od szatana. Dopiero po wyczerpaniu wszelkich środków miejscowych chory decyduje się jechać do „doctora;“ szuka przytym lekarza w miasteczkach, gdzie żaden z nich nie praktykuje, np. w Sobkowie lub Małogoszczu, i trafia do felczera. Wypadki takie trafiają się i w Jędrzejowie; mieszka tam dwóch lekarzy, ale dopytujący się o nich włościanie częstokroć bywają zaprowadzeni do felczerów, ci bowiem mają swoich agentów. Konsultacja w takim razie kosztuje o wiele drożej, niż u lekarza, nie mówiąc już o jej pożytku. Chory trwa w przekonaniu, że był u doktora i, nie widząc polepszenia, traci ufność w skuteczność leczenia. Niedźwiedzia przysługę oddają zdrowotności t. zw. akuszerki, udzielające porad i mężczyznom. Pseudo-medycy są tak łaskawi dla swoich pacjentów, że nieraz przepisują kurację na niewidziane i sami wydają lekarstwa, zapewniając, że w aptece kosztowałyby dwa razy drożej. Środki te można zażywać w większych dawkach, co trafia do przekonania naszego włościanina. Niezadowolony bywa nasz wieśniak, gdy dostawszy się po raz pierwszy do lekarza, otrzymuje od niego poradę i „kartkę do japyki“ zamiast gotowego lekarstwa; wraca on do domu z receptą i czeka kilka tygodni na „wyście bólu z dobra woli.“ Gdy choroba zrobiła już takie postępy, że chory z trudnością się rusza, posyła się z ową kartką czymprędzej do apteki. Chory zapomniał już, w jakich dawkach powinien zażywać lekarstwo, a nie umie odczytać napisu na sygnaturce, zamiast więc brać lekarstwo kroplami, pije je łyżkami, żeby było „przez subjeckji“ i miało „więcej skuteczności.“ Smutne rezultaty podobnej kuracji dyskredytują do reszty medycynę. Koszty leczenia nie są nieprzystępne: honorarjum lekarza jest tak małe, że zadziwia tych, którzy przywykli płacić znacznie więcej felczerom. Przepisuje się też włościanom możliwie tanie lekarstwa.

Podajemy tu pojęcia włościan o chorobach i ich leczeniu.

1) Kołtun uważany jest za dowód pomyślnego zakończenia wszelkiej choroby. Chory powinien więc dokładać starań, aby mu się zwinął, gdyż choroba będzie cięższa, jeśli pozostanie „na wnętrzu.“ Najpewniejszym środkiem ku temu jest nieczesanie głowy przez kilka tygodni. Zdjęcie kołtuna sprowadza rozmaite choroby. Kołtunem można zarazić się, pijąc wódkę, w której moczono uciętą plikę.

(D. n.)

WIEŚ ŻABNO I JEJ MIESZKAŃCY.

(*Powiat Krasnostawski, gub. Lubelska.*)

Przez *Stanisławę Dąbrowską.*

(*Ciąg dalszy.*)

Ubiór. W dzień powszedni przy chałupie „kobita se chodzi zawdy boso, koszula konopna, bają (spódnica barchanowa) czerwona; na spodnie też bają, ale podleńsza; zapaska konopna, abo jaka niebądź cienka.“ (Zapaska jest to fartuch bez żadnych przybrań, obszyty zaś szlarką nazywa się: fartuszek.)

Kobiety mają włosy ostrzyżone trochę poniżej ucha, rozdzielone na środku głowy i przyczesane gładko nad czołem. Dla przystrojenia głowy najpierw nakłada się „chomółkę“, to jest małe drewniane koleczko, szerokości małego palca, zrobione z „obyczajki“, ze starego sita; przez chomółkę przeciąga się po paśmie włosów z obu stron, aby się lepiej trzymała, a na nią kładzie się „koc“. Jest to takie samo kółko z „obyczajny“ (tylko nieco większe, aby mogło wejść na chomółkę), obszyte „szalinówką“; z tyłu wiszą dwa końce, środek obciągnięty. Szalinówka jest to bardzo cienka, wełniana chustka w duże kwiaty na tle ponsowyni lub żółtym, w cenie od 1 do 4 rb. Chustkę taką rozcinają na kawałki i obszywają niemi obrączkę drewnianą. „Taki koc to już je na zawsze obszyty, i do prania nie trza rozporywać.“ Z jednej szalinówki mogą być trzy lub cztery kocy. Chomółkę i koc noszą na głowie przez cały dzień, zdejmując je tylko na noc. W święta kładą na chomółkę, zamiast koca, „czepiec“: jest to krążek płótna lnianego, sztywnie naciągnięty na kółko drewniane i ozdobiony deseniem, wyszytym czarnymi nićmi. Takie czepce robią kobiety na wsi, za co płacą im po 15 groszy od sztuki.

W święta kobiety „oblikajo sie“ w koszule lniane, z przypinanym, za pomocą szklanej spinki dużej, kołnierzem z białego perkalu, wyszytym czerwonymi i czarnymi nićmi. „Baja“ czerwona w pasy, albo w kwiaty. Czasami noszą białe spódnice. Spódnica taka nazywa się „fartuch“, gdyż wszystko, co białe, to fartuch. Fartuszki cienkie z kółkowego perkalu, oszyte u dołu ząbkami lub koronką i naszyte czterema rzędami tasiemek: żółtą, białą, niebieską i zieloną. W pasie okręcają

się z dziesięć razy czerwoną krajką, szeroką na dwa palce. Na barki, nawet w największe upały, zarzucają grubą welnianą chustkę, złożoną w rogi. Pończoch nie noszą wcale, chyba, „chto niechto, jak okropelne mrozy, i to mało“. Ciżmy (buciki) na bardzo wysokich obcasach („napiętkach“), każdy z dwiema podkówkami: „jedna siwa, druga żółta“, to jest żelazna i mosiężna; pierwsza wysoko na obcasie, a druga pod obcasem. Ciżmy zaściągą się tasiemką, z jednej strony zieloną, z drugiej niebieską. Na szyi mnóstwo koralu i paciorków, szkaplerz na czerwonej tasiemce, krzyżyk duży mosiężny na łańcuszku i koronka. Wszystko to należy do stroju świątecznego. W zimie kładą na to kozuch z kołnierzem z siwych baranów, sięgającym do pasa; na kozuch zarzucają chustkę grubą, na głowę mniejszą chusteczkę. W lecie idą do kościoła bez chustek na głowie, tylko w samym kocu, lub w czepcu.

Dziewczyny w dzień powszedni chodzą, tak jak i kobiety, w bai; zapaska cienka, kaftanik cienki, puszczoney (wolny) i chusteczka jasna perkalowa na głowie. Gdy nadejdzie dzień świąteczny, już od samego rana zaczyna się czesanie głowy; rzeczywiście jest to dość trudna sprawa, bo i uczesanie jest skomplikowane, i włosy potargane i zwite w kłęby całotygodniowym nieczesaniem. Dziewczyny nie czeszą się nigdy same, lecz chodzą jedna do drugiej i pomagają sobie wzajemnie. Uczesanie jest dwojakie: „w poplety“ i „w bajdy“. Pierwszy z tych sposobów stosuje się do włosów, obciętych poniżej uszu, odbywa się zaś tak: Przedziela się włosy wpoprzek głowy, od skroni do skroni, i dolną ich część, uciętą poniżej uszu, zostawia się puszczoneą swobodnie, górną zaś czesuje się razem, wiąże się tasiemką, rozdziela na połowy, każdą z nich dzieli się na pięć „popletów“ (splotów) i plecie się z tego „ogonki (warkocze), tak kwardo, jak deszczułki“. Potym te ogonki układa się na wierzchu głowy w kółko i grubą nicią lnianą przyszywa się je do włosów mocno, aby się „bez cały tydzień nie ruszyło“. Do wielkiego stroju zawiązują na tym kółku ze splotów wstążkę lub wążki pasek białego perkalu, co się nazwa „feteć“.

Uczesanie „w bajdy“ jest o wiele prostsze: Rozdziela się włosy na pół, zaczesuje się nad czołem w górę, potym trza naburzyć „palcami abo grzebieniem w moździki“, to jest nasunąć trochę włosów od przedziału na czoło. Następnie splata się dwa „ogonki“ koło ucha i przyszywa się to nicią lub przypina szpilkami, ale przeważnie szpilek nie używają. Gdy uczesanie już skończone, zaczyna się ubieranie

„w ładne gałgany“. A więc koszula cienka, z półpłótna lub z perkalu, kołnierz wykładany, naszyty czerwonymi i czarnymi nićmi, oddzielnie przypięty do koszuli guzikiem (spinką). Spódnice są w rozmaitych kolorach, najczęściej jednak różowe i „buraczkowe“ w białe pasy. Stosownie do gatunku materiału, mają spódnice rozmaite nazwy: więc barchanowa nazywa się „baja“, z perkalu—„spódnica cienka“, z wełny—„terna“. Fartuszki z muslinu, z perkalu, albo z „terny, na chyla kogo stać“, oszyte szlarką i tasiemkami. Kaftanik wcięty, „czerwony, albo śniado różowy“, zawsze innej barwy, niż spódnica. Na szyi paciorki różnobarwne, szkaplerz, krzyżyk na łańcuszku. „Koronka—to na ręce, albo na ksiożce okrecona, bo tylko kobita to na sobie powiesi na szyi, a panny zawdy muszo na rece koronkę nosić“. Ciżmy noszą dziewczyny, tak jak i kobiety, na wysokich obcasach, i tak samo „zaścigajo“ dwuharwnemi sznurkami lub tasiemkami. Ciżmy wzuwają przed kościołem. Idąc do kościoła, „jak wielgie słonko“, okrywają głowę jasną, perkalową chusteczką, lub białą muslinową; przed kościołem ją zdejmują i trzymają przez czas nabożeństwa pod pachą. W zimie ubierają się tak samo, z dodatkiem kaftana „watowego“ i grubej chustki. Pończoch nie noszą wcale.

„Dziewczyce“ (to jest dziewczęta dorastające) noszą uczesanie jak „dziewczyny“ (doroste). W dzień powszedni noszą koszule konopne, baje, zapaski, chusteczki na głowie; w święto — koszula lniana, baja czerwona, sięgająca do ziemi, fartuszki wąskie i krótkie z perkalu, kaftany czarne kamłolowe na wacie, choćby dzień był najbardziej upalny.

„Chłopy“ w dzień powszedni noszą „portki zgrzebne“, koszule konopne, na wierzch wyrzucone i przepasane wązkim „rzemieniakiem“, zapiętym na sprzączkę; młodszy kładą jeszcze na to kaftan czarny, watowy, naszywany z przodu guzikami stalowemi.

Kapelusze ze słomy sztywnej, albo „z psiarki“, lub też czapki barankowe, „okręgle czubate“ białe; czapki „sukniane to już zagniu“.

„Jak przyńdzie niedziela, to każdego chłopca czesze jego kobita.“ Młodzi czeszą się „na bok“, to jest zaczesują włosy od lewej strony ku prawej, starzy zaś po dawnemu—napuszczają na czoło.

W święto odziewają się w spodnie czarne, latem z „cajgu“, zimą z sukna (zowią się sukienniaki). Koszula konopna, kołnierz odwinięty, wyszyty czerwonymi i czarnymi nićmi, zapięty na dużą spinkę szklaną. Koszulę wyrzuca się na wierzch i przepasuje szerokim pasem skórzanym z klamrą, ozdobioną kółeczkami mosiężnemi. Przy

pasie, na boku, jest „kalita“ na pieniądze. Kamizelka czarna lub granatowa z metalowymi guzikami, zupełnie rozpięta. Na to wkłada się „parciankę“ z lnianego drelichu, także rozpiętą. Krój parcianki równy z tyłu i z przodu, po bokach zaś wstawione są od stanu kliny; kołnierz stojący; część nad ramionami tak szeroka, że rękawy są wszyte nad samym łokciem. Długość parcianki dochodzi do połowy cholewy. Buty z wysokimi cholewami, sięgającymi za kolana, uczernione sadzami z tłuszczem; obcasy wysokie, umieszczone prawie na środku podeszwy, i grube podkowy.

Na szyi wisi duży krzyżyk mosiężny na zielonej tasiemce i szkaplerz na czerwonej, u kołnierza „łyszczy się guzik jak śrębło“, na ręce owinięty różaniec. Oto i cały strój, jednakowy dla starych i młodych, z wyjątkiem nakrycia głowy. „Chłopy letnie“ (starzy) noszą czapki graniaste z czarnego lub białego sukna, z kwastami z błękitnej włóczki; mężczyźni w średnim wieku noszą takie sobie kapelusze ze słomy żytniej, młodzi zaś — kapelusze z psiarki. W zimie wszyscy noszą kożuchy; w czasie śloty wkładają na kożuch parciankę. Czapka barchanowa albo sukienna i spodnie grube.

Chłopcy mali, mniej więcej do lat ośmiu, chodzą tylko w koszulach konopnych, przepasanych „rzemieniakami“, na głowie czapki z grubego sukna nawet podczas dni upalnych. Dziewczynki — w sukienkach czerwonych, barchanowych; spódniczka i stanik zeszyte razem, z tyłu zapinane.

Jeszcze kilka szczegółów dodatkowych do charakterystyki ubiorów i sposobu ubierania się:

Do spódnicy — „żeby najładniejsza, żeby do ślubu, żeby tyrnowa — to musi być wstawione na przód w półkę kawałek zgrzebnego płótna — tyła, co fartuszek zakryje. „Trocзки“, to jest zawiązki u spódnicy muszą być czerwone. Kobiety noszą spódniczki krótkie, tak, żeby było widać całą stopę; dziewczyny mają spódnice do kostek, „dziewczyce“ — aż do ziemi.

Koszula u mężczyzny sięga prawie do kolan, kobiety zaś noszą koszule tak krótkie, że „tylko se przepasze, aby ze spódnicy nie wyłazła“. Koszuli cienkiej nigdy nie wdziewają na gołe ciało, lecz zawsze na grubą koszulę. Po przyjeździe z kościoła zaraz zdejmują cienką koszulę i wogóle tak ją oszczędzają, że i przez pół roku może być bez prania. Kto bogatszy, „oblika“ koszulę co tydzień, kto biedniejszy — raz na dwa tygodnie. Czesząc się, grzebień maczają w pomyjach, bo włosy od tego lepiej rosną. Kobiety myją głowę raz na miesiąc, mężczyźni zaś — tylko na wielkie święta doroczne. Do mycia głowy używa-

wają ługu lub kwasu kapuścianego. Szyi i uszu nie myją nigdy. Twarz i ręce myją codzień, a to w ten sposób, że „bierze się wodę w gebe, podleje se na rece, i już!” Dziewczyny najczęściej myją się pomyjami, bo od tego chłopcy kochają.

Gdy przy wielkim święcie dziewczyny ubierają się w „ładne gałgany,” wtedy niektóre myją się z mydłem, kobiety zaś nigdy go nie używają, bo to „dla białogłowy nie przystoi”. Również nie przystoi dla „żeniatego” chłopca chodzić w kapeluszu z psiarki, bo to „niestatecznie”—kapelusz musi być z żytniej słomy. Kapelusze wyrabiają sami, wybierając do tego słomę najgrubszą; kawałki słomy nazywają się: „członki” albo „dudki”, których 26 lub 27 sztuk splata się „w krajkę” szerokości małego palca. Ilość krajki na kapelusz wymierzają w sposób następujący: przydeptując koniec krajki, podnoszą ją ręką do możliwej wysokości; daje to długość, która, wzięta sto razy, wystarczy na kapelusz.

Kapelusze z „psiarki” (trawa cienka i sztywna) nie plecie się, lecz szyje. Bierze się piórko gęsie, osadza się w nim 15 do 30 ździebeł psiarki i szyje się przez wierch białemi szpulkowemi nićmi, posuwając piórko wciąż dalej; gdy jeden pęczek trawy wychodzi, zasadzają drugi, szyjąc wciąż w kółko. Kapelusze ze słomy są tylko opasane czarną wstążką, a z psiarki — oprócz tego jeszcze oblamowane takąż wstążką.

Tylko kapelusze i płótno na koszule i parcianki wyrabiają sami, zresztą zaś wszystko kupuje się u handlarzy w Turobinie lub Żółkiewce.

IV.

Gdy się w jednej i tej samej izbie spi, je, gotuje, pierze, przeździe, „ładuje trzodzie parzę”, gdy w tej samej izbie bawią się dzieci, piecze się chleb, zmywa się „statki”, — trudno wymagać, aby mógł tam być wielki porządek. Jednak w chałupach żabińskich jest czysto. Łóżka zawsze są posłane, naczynia porządnie poustawiane na półkach, izba zamieciona. Wprawdzie tam, gdzie jest podłoga z desek, myją ją tylko przed „Wielgo Niedzielo” (Wielkanocą), ale jest poprostu niepodobieństwem uskutecznić to częściej, albowiem izby są zazwyczaj niskie, duszne, a myć podłogi małą ilością wody nie umieją, więc też czynność ta nieraz szkodzi zdrowiu: „zawdy kater owali i kaszel, jak sie wymyje chałupę”.

U zamożniejszych gospodarzy są w chałupie zwykle dwa łóżka: na jednym śpią małżonkowie, na drugim — dzieci: dwoje, troje, lub czworo. U biedniejszych jest tylko jedno łóżko dla rodziców, a dzieci śpią „dzieniebodź” — po stołkach, na worku ze słomą, położonym na ziemi; na dzień worek ten wynoszą na górę.

Łóżko jest zazwyczaj wysłane słomą i przykryte płachtą, w głowach poduszka i pierzyna, złożona „we dwoj”. Kołder tu nie znają: „odziwają się pierzyno, a jak chło nie ma, to kożuchem”.

Pożywienie tak u bogatszych, jak u biedniejszych, jest jednakowe. Na śniadanie o godzinie 8-ej kapuśniak lub barszcz i kluski „skubane”, zalane mlekiem. Obiad gotują razem ze śniadaniem: „wstawi se kaszy jaglanej abo jęczmiennej z mlikiem; ze słonino nimóz (= nie można), bo predzy ostygnie”. Tą jedną potrawą zadawalają się na południe, jedząc przytym dużo chleba i popijając wodą. Na wieczerzę — kartofle ugotowane w łupinach, które obierają i jedzą z solą, a czasem omaszczone słoniną. W czasie żniw śniadania nie gotują, biorą tylko w pole po kawałku chleba. Dzieci małe zabierają z sobą w pole, „a większe ostają przy chałupie i tyż tylko chlebein obywiają sie do obiada”. Gospodyni wcześniej schodzi z pola i idzie gotować obiad, który przez czas żniwa musi być „na dwoje”, to jest składa się z barszczu lub kapuśniaku i klusków lub kaszy ze słoniną.

„Przy piotku to na wieczerze je słoduchy”, które robi się w sposób następujący: „rano zaparzyć trza moki razowej w baniak, a wieczorem wstawić ten baniak na ogień, żeby sie ino raz zagotowało — i jedzo”. Grochu nie jadają i nie sieją; używany jest tylko parę razy na rok „groch biały” t. j. fasola. W ogóle żywią się tym, co otrzymują z własnej ziemi, z wyjątkiem świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, kiedy piją herbatę, kawę i jedzą mięso.

Ziemia w Żabnie jest żyzna, więc i urodzaje są dobre. Najwięcej sięją pszenicy, potym idzie żyto, owies, jęczmień i konieczyna, kartofle, kapusta i konopie. Tatarki mało kto sieje. Warzyw, jak oto: marchwi, pietruszki, cebuli — nie sięją wcale.

„Chudoba” (inwentarz żywy) zamożniejszych gospodarzy składa się z 4-6 koni, z 8-u sztuk bydła (z jałowizną) i kilku sztuk nierogacizny. „A baby se majo i po dwadzieścia gęsi i kurów”. Mniej zamożni chowają parę koni, troje bydła i „dwoje świni”.

Inwentarz martwy stanowią: pługi, brony, radła, sieczkarnia ręczna i takąż młocarnia (u bogatszych), młynek do czyszczenia zboża i „żałobiczki”, to jest sanki, któremi jeżdżą do kościoła.

W zimie „gospodarze żabiejskie nie bardzo są robotne“, ale w lecie „to do każdej roboty ciekawe“. Chociaż w czasie roboczym jest „wielga mordęga, to zawdy w niedziele nie chodzi se człowiek jak Turek (ponury, milczący), ino muszo co nieco sobie przepowiedzieć (opowiedzieć), pogawędzić i zaśpiwać śpiwanke, i na skrzypkach se zagrać“. Gdy niedziela jest pogodna, zbierają się gromadnie na błoni, przed chałupami, siadają „na sośnie“ (kłocze nieobrobione), abo na bale jarach” (drzewo obrobione, bale), czytają „Gazetę świąteczną i „radzo se” (zabawiają przypowiadkami i zagadkami ¹⁾). „Jakże je dyszcz, to sie zbierze kiloro po chałupach na muzyke (t. j. na tańce); w takiej chałupie, co so gospodarze jęte (uprzejmi), to czesto sie schodzo u nich, i jak do ochoty, to bawio sie; a jak gospodarze pasjatne (gniewni), to nicht ani zańrzy“. „Jak przyńdzie jeden do drugiego nawidzić, to podajo se rece, proszo siedzieć i mówio: „Siedźcie sel co was do nas przypedziło?“ Gości z tej samej wsi „nie przyjmują“ (nie częstują) niczym (z wyjątkiem świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy), przybyłych zaś z innej wsi przyjmują chlebem i serem. Charakterystyczny jest sposób podawania rąk na powitanie: Mężczyźni, wyciągnawszy prawice, ujmują się wzajemnie za dłonie i potrząsają niemi kilkanaście razy. Dziewczyna i młodzian odsadzają prawe dłonie w stronę i uderzają mocno jedno o drugą, przez chwilę trzymają je zetknięte bez poruszenia i odejmują od siebie. Kobiety zaś, zaledwie dotkną końcami palców podanych wzajemnie dłoni, w tejże chwili odejmują ręce z takim ruchem, jakby coś z palców strząsały.

Ani na przywitanie, ani na pożegnanie nie całują się nigdy. „Chto nie chto i pocałuje sie, jak nicht nie widzi: nie trza i mówić, doczego to idzie“.

* * *

Podług swego rozumu układają rachunek czasu i długości. Z książek do nabożeństwa znają nazwy miesięcy, jednak nigdy ich nie używają, określając miesiące i kwartały po swojemu.

Określenia godzin dziennych są następujące: „Stonko zyszło“ — „Podyszło se kiloro pacierzy“ — „Podyszło se już kawałek“ — „Półdopołud“ — „Dopołud“ — „Południe“ — „Z południa“ — „Półodwie-

¹⁾. Rzeczy te podałam w zeszycie 3-m „Wisły“ z r. 1902.

czyrz“— „Słonko będzie na dobrego chłopą“ — „Słonko spoczywa“. Oto i cały dzień.

Określenie miesięcy jest następujące: Październik: „Włędę, kiedy konopie miedło“.—Od 1-go do 25-go listopada: „Wszyst-świeta, kele wszystkich świat“.—Od 25 listopada do Bożego Narodzenia: „W jandwencie“.—Od Bożego Narodzenia do połowy stycznia: „Godnie świata“— Od połowy stycznia do Popielca: „Zapust“.— Od Popielca do Wielkanocy: „W poście“.—Od Wielkanocy do Zielonych Świątek: „Wielganocne Świeta“, „po Wielgiej Niedzieli“, „Siwy“ (siew jęczmienia, owsa i t. d.).—Od Zielonych Świątek do żniw: „Po Swiotkach“, „przednowek“.—Cały sierpień: „We żniwa“, „na Zielne“ (=Wniebowstąpienie Matki Boskiej). — Cały wrzesień: „Na Siewne“ (=Narodzenie M. B.), podczas siwów“.

Mamy więc i rachunek całego roku.

„Na bezrok“ znaczy: za rok „Tak roku“ w przeszłym roku. Do pół roku rachują na tygodnie, np. „dziesięć, dwadzieścia niedziel“; od pół roku liczy się „trzy dwa, kwartały“.

Odległość: $\frac{1}{2}$ wiorsty = „ze dwa grunty“; 1 lub 2 wiorsty. = „kilorostai“. Gdy jest kilka wiorst, mówią ogólnikowo: „daleko“; gdy kilkanaście wiorst: „daleczenieko“.

O świętach słów kilka:

„Zielna“, (Wniebowzięcie) jest świętem ulubionym. Żniwa ukończone— „to już jakby chto połowa roboty z plic zwałi“. Wten dzień „do dnia, raniusienko, ido se do lassa i na między (=miedze) po „ziele“ składa się na nie: lebiódka, osetek, kolki, kalina, piżmo, piołunek, obtrzas, „a chto ma kole domu o rginie i tureckie proso, to też dobre“. Zioła te wiążą razem, a w środek wtykają „kilorostów“ żyta i pszenicy, główkę kapusty i jabłka, zasadzone na drewniane patyczki. Po powrocie z kościoła zaraz stawiają tę wiązkę ziół na zagonie kapusty, wyjąwszy kłosy które wkruszają później do ziarna, przeznaczonego na siew. Ziele stoi w kapuscie do trzeciego dnia: „niewiadomo, do czego to idzie, ale już tak stawiajo z dawna“. Jabłka też wyjmują z ziela i albo dają dzieciom do zjedzenia, albo suszą, jako pomocne od bólu zębów.

Na Boże Ciało wiją wianki w liczbie 15, 25 lub 35— nigdy do pary. Zioła do tego niezbędne są: „kopytnik, krzyżownik, urocznik, toja, podróżnik, jabłonnik, zajeczy groch, tuzia trawa, ścięgacz, żółtak, przestep. Z pokrzyw wije się oddzielny wianek i przywiązuje się do tamtych. „Kole kościoła

łamio lipe na oświecenie i kupujo od światowych bab rosiczkę, takie ziele, co nie wiednie; te rosiczkę trza kupić, bo u nas nie chce być“. Wianki te, po powrocie z kościoła, wieszają na poddaszu przy kominie. Są one pomocne krowom przy trudnym ocieleniu, jak również kładą je (3 sztuki) zmarłemu do trumny. „A jak je burza, to z tego wianka, co z pokrzyw, ukruszyć trza co niebodz i posypać na węgle, żeby się kurzyło, to wtędy wiatr odgoni“.

„Na Św. J e d r z e j a—to dziewczyny pieką poczki i kłado na deszczce: chtërej poczek pies predzyj zje, ta wyńdzie popirw za moż“. Kładą też pod cztery jednakowe miski cztery następujące przedmioty: rutę, czepiec, fetec (wstążkę z warkocza) i różaniec. Dziewczyny, będące przez ten czas w sieni, wchodzi i wybierają sobie miski: czepiec oznacza prędkie zamążpójście, ruta—wyjście za mąż „na bezrok“, fetec—staropanieństwo, a różaniec—śmierć.

„Na tydzień przed G o d n i e Ś w i e t a bilo chałupe. Na dwa dni przed Wiljo pieko placki i pierogi“, pierwsze na wodzie, drugie na mleku z serem. W wilję przez cały dzień nie gotują strawy, nawet dla dziecka; dopiero pod wieczór gotują „pośnik“ (wieczera wigilijna), do którego nakrywają stół białym „dreliczowym“ obrusem, obszytym „szlarką“ (koroneczką). „Lapki wtędy nie moż zapalać, bo gaz (=nafta) nie pasuje przy pośniku, ino musi być świca“. Przed rozpoczęciem wieczery gospodarz łamie się opłatkiem ze wszystkimi domownikami, a ci między sobą, mówiąc: „Żebyśwa doczekali!“ Przy tych życzeniach nie całują się. Potrawy podają w porządku następującym: kapusta, groch biały (fasola), barszcz zasypany krupami, kasza jęczmienna, kasza jaglana, kasza hreczana, małe rybki smażone i „poczki“ na oleju. Na ostatek każdy wypije po szklance poliwki z suszu“. Kulja, to jest kasza z pszenicy (obtluczonej w stępie z wierzchniej błonki), zmieszana z makiem i miodem, stoi podczas „pośniku“ na stole, ale zwykle jedzą ją na drugi dzień, „bo taka pszenna kasza to nie skisnie“.

W czasie wilji gospodyni odkłada w osobną miskę po trochu każdej potrawy. Po wilji gospodarz bierze opłatki, a gospodyni miskę z temi właśnie odłożonemi potrawami, i idą do obory obdzielić „chudobe“, „bo i nieme stworzenie czuje, że Pan Jezus się narodził.“ Po wilji śpiewają kolędy, potym „dzie niechtóre sie prześpi“ i idą do kościoła na pasterkę, a nazajutrz rano znowu idą do kościoła.

W pierwszy dzień świąteczny nie odwiedzają się wzajemnie; na drugi dzień młodzież zbiera się i śpiewa pod oknami kolędy z kan-

tyczek, starsi zabawiają się rozmową w chałupach, jedząc pierogi, placki i popijając „arbonate“ albo piwo.

We dwa tygodnie po „Godnich Świątach“, gdy już zaczynają się wesela, zaczyna się też i prawdziwy zapust. „Każdemu je wtedy uciecha, bo podje se i poula“. Najgłówniejszy jednak czas zabaw zapustnych zaczyna się od tłustego czwartku, kiedy następują dni t. zw. „kusałki“, trwające do Popielca. Pieką wtedy pierogi z mielonych jagieł, omaszczone masłem z dodatkiem śmietany i tartego sera, kupują kielbasę i „świskie mieso“.

W tłusty czwartek, następnie w niedzielę i poniedziałek schodzą się po chałupach na zabawę przy muzyce, i „bez te dni nicht nie je (=jest) pragnocy jadła“.

We wtorek zapustny, zaraz po obiedzie, zbierają się t. zw. „draby“, t. j. gromada młodzieży męskiej w liczbie około 20 osób, poprzebijanych za „Niedźwiedzia“, „Druciarza“, „Cygana“, „Kominiarza“, „Wójta“, „Strażnika“, „Dziada“. Do przebrania się służą brody z konopi, podarte prześcieradła, „obyczaina“ (=rama łubiana) od przetaka i t. d. A więc „Niedźwiedź“ występuje w kozuchu na wywrót, poobwieszany grochową, umocowaną powrośłami; na głowie czapka, przewrócona podszewką na wierzch, na twarzy maska z czarnego sukna, z naszytymi przy otworze ustnym zębami z czerwonych piórek. Maska może też być z grubego papieru, ale zawsze musi być czarna. „Druciarze“ mają „jakie niebodź roztarchane (=podarte) odziwadło, i stare obyczainy nakłado se na siebie“. „Kominiarze“ są umazani czarno i na wysokich kijach niosą pomiotła ze słomy. „Wójt“ ma jakikolwiek łańcuch na szyi, a „Strażnik“ ozdoby z czerwonego papieru nad ramionami i na czapce. „Babą“ jest chłopak, ubrany w „baję“, zapaskę, w „czepidło na łbie i kaftan kobicki“. „Dziad“ ma wąsy i brodę z konopi i torbę na plecach. Tak chodzą te „draby“ z muzyką po wsi „od koca do koca“ (=końca), a z pośród nich na czele kroczą kominiarze. „Wszyscy se leco, kycajo, tańcujo, a Dziad z Babo stukajo do okna każdej chałupy, żeby im dali kawałeczek okrasy, abo jajko.“ Często też wpadają do chałup i porywają z szafy parę jaj, ale „nic im na to nie zrobi, bo już taki na nich czas“.

Wieczorem, gdy już obejdą całą wieś, idą do jednej z chałup, gdzie gospodarz jest „przyjemny“, a gospodyni „rozgracna“ (=wesoła), i tam już „ulajo“ (=hulają). Smażą jaja, które dostali po chałupach, chłopcy częstują dziewczęta wódką, a która dostanie najwięcej wódki, ta musi później dać najwięcej pisanek („pisek“). Gospody-

ni daje pierogów dowoli, a chłopcy dostarczają wódki, i zabawa idzie „jaż, jaż!“ „Każdego wyciągają w tan, a jaki bardzieńko stary chłop, abo i baba, to przyleci do komina, uczepi się podpory, i kycają se same, pospiewując to na len, to na konopie, żeby wielgie urosły;“ jest tu bowiem mniemanie, że ktoby nie tańczył w „kusáki“, temu len i konopie nie obrodzą.

O północy najstarszy chłop wygania wszystkich z chałupy, wołając: „Wstępna środa, wstępna środa!“ Wszyscy więc wychodzą śpiewając:

Dzieżeś mi się podział.	Na kusáku byłam,
Mój miły zapuście?	Kusákam wyżyła;
Było śtyry szpyry w barszczu	Kusák już, ucieka,
I troche w kapuściel	Cóż bede robiła!

Kusáki, kusáki, już to po kusáku.

Powieś sobie, Wojtuś, buciki na krzaku.

— Nazajutrz po nabożeństwie zbierają się po chałupach baby i chłopcy, „siedzą se i popijają wódkę“, czyli, jak mówią: brody gołą. A młodzież dogaduje sobie:

— Bedziemy widzieć, jak to będzie na Piszczane niedziele (N. przewodnia) z piskami...—powiadają chłopcy.

—Nie dostanieta nic, i tyła!—odpowiadają dziewczuchy.

Pomimo jednak tej groźby, dziewczęta już od pierwszych dni postu przysposabiają jaja na pisanki. Każda z nich dostaje od swojej chrzestnej matki kilkanaście jaj; częstokroć chodzą też do innej wsi, aby dostać jaj od ciotek i babek. Przychodzi nareszcie „Piszczana niedziela“. „Kawaliry sprowadzają muzykę do jakiej chałupy se uładzo, dziewczyny się schodzą, każda za pazucho niesie piski, tak, że je dookoła opchana tymi piskami. Chłopaki posiadają se w rzód na stołku, a dziwki idą po jednemu i każdemu kawalirowi kładno na podołek po dwie, abo po śtyry piski; to nazbiera niejednego chłop i ze trzydzieści pisek w podołek“. Potym tańczą, piją wódkę, ciskają „piski“ do góry, biją się niemi. Bawią się piskami do Zielonych Świątek, ale największa niemi zabawa bywa w „Piszczaną niedzielę“.

Przed „Wielgo Niedzielo“ we wtorek bielą chałupę, w czwartek i piątek pieką placki, pierogi z serem, kaszą jaglaną, lub hreczaną. W sobotę gotują „świeconkę“, to jest mięso wieprzowe, kielbasę i jaja. Gdy już wszystko gotowe, układają to starannie w koszyk lub w kobiałkę, dodając serek, oselkę masła i placek. Gospodyni ubiera się świątecznie, bierze z sobą jedno ze starszych dzieci i idzie ze

„świeconko“ do dworu „na oświecenie“. Na trawniku przede dworem ustawiają koszyki, sami zaś stoją w gromadzie i oczekują proboszcza; dzieci na zmianę stoją na czatach. Podczas święcenia wszyscy klęczą w półkole, trzymając przed sobą koszyki ze „świeconko“, przyczym żegnają słę i odmawiają *Ojciec nasz*. Po oświeceniu powstaje ruch i gwar, dzieci z uciechy podskakują i, wyprzedzając matki, biegną gromadą do domu. „Świeconkę“ stawiają w komorze na stole, przykrytym obruskiem drelichowym.

Wieczorem w Wielką Sobotę myją sobie głowę, ręce i twarz, (szyi i uszu nie myją nigdy). Chłopów myją i czeszą kobiety. „W Wielge Niedziele rano oblikajo sie w ładne gałgany i zabirajo sie do kościoła. Jedna ostaje i gotuje na obiad rosół, a także kawę i arbate“ w garnuszk. Po powrocie z kościoła dzielą się jajkiem święconym, poczym piją herbatę lub kawę, jedzą placek z masłem i kielbasę z pierogiem, a potym rosół. Zaraz po jedzeniu idą w pole do swoich granic „na mełus“ (zapewne *Emaus*), przyczym śpiewają pieśni nabożne, „a jak sie w sercu każdy uraduje, wracajo do domu, popojo krowy, podajo świnię mi spoczno se, abo i prześpio co niebodź. Potem znów sie weselo, jak chto może, bo to uciecha wtędy człowiekowi“. Wódki, że droga, wypijają tylko po kieliszku.

Na pierwszy dzień świąt nie odwiedzają się, na drugi zaś dzień chodzą jedni do drugich, częstują się herbatą, kawą z mlekiem, jajkami.

Na „Zielone Światki“ pieką znów pierogi i placki. „Jak przyńdzie Zielona Sobota, to przywiozo brzeziny z lassa i postawio przed sienio, potem nałamio golenie (= gałęzi) z lipy i z brzeziny i majo (=stroją zielenią) obrazy, i sadzajo za pułap. Teter (ajer. tatarak) tyż krajo i potrzosajo po ziemi.

Na ś w. J a n „majo chałupy łopionem, pokrzywo i osetem.“

Do niektórych świąt przywiązane są pewne zabobony, największej zaś do święta Wniebowzięcia.

O zabobonach, czarach, wróżbach, upiorach, planetnikach, zmo-rach, topielcach, latawcach i djablach pisałam już dawniej, dodam więc tu tylko parę świeżo zebranych wiadomości. „Czarowniki so łakomne na złe postęпки. Na czarostwo to je dobra ta szmata, co umarłemu podwiozują gebe, i igła, co szyją umarłemu.—Na Wniebowstąpienie to czarownice chodzo po nocy; do dnia przylatuje do obory i siepa (=ciągnie) krowę za ogon, to od takiej krowy już mliko zepsute.—Jak chto wiedzieć chce, chto mliko zepsuł, to w południe, jak

wydoi krowe, trza przewrócić szkopek z mlikiem do góry dnem nade głowo, włożyć szkopek na głowe i lecieć pod wykreta (drzewo od wichru wyrwane z korzeniem) i głębnoc sie (zębami złapać się) do trzech razy w ramie, i iść nazad do domu; to temu, chto zepsuł mliko, krowa straci sie. (Nie mówi się: zdechnie, bo to „przykre“ słowo.)—Do czarów tyż dobre so owczarze: majo oni zawdy ziele suszone, abo i Żyda łeb.⁴

Rozmawiałam o czarach z bardzo rozsądnym gospodarzem: — Jak możecie wierzyć,—mówię—żeby człowiek taki sam, jak wy, mógł robić jakieś nadzwyczajne rzeczy? Dlaczegoż on ma być mądrzejszy od was?—Kiedy pani nie wierzy, że so czarowniki, — odpowiada mi na to—to już musze powiedzieć, co tak roku (w przeszłym roku) przygodziło sie u nas w Żabnie. U gospodarza K. straciło sie w czasie dwóch niedziel sześcioro bydła; tak on poszedł do wróża na wywiady. Wróż powiedział, że coś je zakopane kole wrót, i to szkodliwe je. Nie minęło i dwie niedziel, jak przyszedł do K. wielgi czarownik (taki światowiec, co nachodzi tylko); K. rozpowiedział mu wszystko, że sie bydło straciło i co wróż powieadał. Czarownik kazał kopać i zdybał jakieści kości i barani łeb. (Chłopak, co to kopał, na beztydzień pomar.) Czarownik kazał te kości wynieść na Wierzchoskie pola, cisnąć i uciekać, nie ogłodać sie. Gospodarz i jego chłopak tak i zrobili; a za nimi był okropelny szum i pisk. Jak przyszedli do chałupy, pyta sie czarownik: „Co chcecie, żeby zrobić temu, co wam tak poradził? A gospodarz powiada: „Żeby go tak rozsadziło, jak moje chudobe.“ Jakurat, za kiloro dni poznali, chto to zrobił, bo u gospodarza F. wpirw ona (=żona) zachorowała i pomarła, a na beztydzień o n pomar. A tak ich sadziło, że deski truny popekały. Jeszcze i to trza powiedzieć, że ona nie mogła predko pomrzeć—pocz wila sie (=męczyła) bez dwa dni, aże prosili, żeby K. przyszedł. Jakże K. przyszedł, to i pacirza nie minęło, zaraz F. pomarła. Czarownik za to, że oswobodził K., wziun 14 rubli.

— I jeszcze powiem, co sie mnie samemu przygodziło. Bedzie temu ze dwa kwartały—przyszedł do nas czarownik i napirał się mlika. Moja kobita powiedziała że nima,—jak to zawdy białogłowa łakomna na nabiał,—a było. Tak dali mu jeść, co było ugotowane na wieczrze. Czarownik podjad se, przespał sie i na drugi dzień poszedł. A moja kobita wydoiła krowy, przecedziła mliko, a tu wszystkie garki popekały—ot tak naszczet sie rozjechały, a mliko wylało sie. A to je wszystko tak prawdziwe, jak mnie tu pani ma przed sobo.

Zwróciłam uwagę, że może czarownik, odchodząc, ponadtlukiwał im garnki. Odpowiedział mi, że „komora, dzie stały garki, była na kłodke zaparta, i bez całe noc stała w nich woda i nie ciekła“.

O ile wróża i czarownika nie boją się, o tyle imienia djabła nie wymawiają nigdy, „bo jeszcze się przyśni człowiekowi“, — zastępują je określeniem: „złe.“ „Złe“ można kupić za 3, 5 lub 7 złotych (koniecznie liczba nieparzysta). „Jak sam chto sobie zapisze złe, to już tego nie wypędzi,—ale jak chto naszle, to ksiodz odmodli, wyświeci—to odyńdzie.“

— Złe czesto straszy tak, że niby budynki palo sie, to krowy wiesz na belku, abo na kominie,—gospodarz krzyczy: „Chto w Boga wierzy, ratujta!“—a tu nic nima.

— Dzie je złe w chałupie, to statki strzylają.

— Złe nalepiej lubi przesiadywać w wierzbie próchniatej, w osice i kole komina na górze.

— Może też złe przemienić się w kota, abo we psa.

— Złe—to ma pazury na długość palca, ogon zakrecony, i w pazurach trzyma widły, a na nich paloca się słoma. Jak chto uwidzi złe, to na odlew jak dać w pysk, z lewej reki, to się rozleje mazio; drugim nawtorem (=drugi raz) nie trza poprawiać, bo ożyje.

Chociaż djabła boją się bardziej niż czarownicy, mówią: „Na djabła ksiodz pomocny, na czarownice—nie“!

— Wypiór straszy, bo że jako ma dwa serca, to jak jedno zamrze, drugie zaraz ożywie, i dlatego on ciągiem chodzi. Trza wypióra z grobu wyjść, stuło rece zwiozać i pochować jego lidźma (= plecami) do góry: to jak ma iść w górę, to idzie w ziemię.

— „A z m o r a to je zawdy siódma dziwka (=cóрка); dusi ona człowieka w nocy. Na zmora to najlepszy krzyżyk, szkaplirz, abo igłę wpioć w pazuche, to nie będzie dusić; abo zoło (=ługiem) się pokropić, to sobie zmierzi (=obrzydzi) tego człowieka i nie przyńdzie. Najgorsze, jak się dzie zmora zapasie (=znęci) do konia, to aż koń się zgrzeje.“ Najczęściej zmora splota koniowi grzywę, czemu zaradzić można tylko potarciem kurzym łajnem.

— Na błody (=błądzenie), co so w lessie, to już nic nie je pomocne.

A teraz kilka w i e r z e ń.

1) Jak nos swedzi, to będzie jakiś przywilej (= przypadek)—chtoś w rodzie pomrze.

2) Reka prawa swedzi, to chtoś nawidzić przyńdzie; lewa reka—to pieniądze rachować.

3) Jak bąk (ptak) buknie na wiosne sześć albo siedem razy, to będzie drogi rok, a jak dwa razy, to będzie tani czas.

4) Nosić przy sobie laske z k o ł o c z k i (=kłokoczyna), to pierun nie strzeli w takiego człowieka.

5) Syroka (sroka) jak się trzesie (skrzczy), to będzie coś złego.

6) Sójka jak krzyczy, to musi ktoś pomrzeć.

7) Jak ogień strzyla, to obmowisko jakieś ludzie prowadzo; wtędy cisnąć szczypte soli w ogień, to temu, co obgaduje, język spryszczy.

8) Podkowie przybić nade drzwiami, to podług słabości dobre, najlepsza do tego podkowa z zagranicy.

9) Za paznogciem jak kwnie, to już człowiekowi świat prze-kwita.

10) Jak sól pożyczyć komu zmrokiem, to bydle na oczy płacze (=choruje).

11) Przy kwaszeniu kapusty trza dać komu w gebe skosztować to będzie zdrowa (=jędrna) kapusta.

12) Na Nowy Rok spotkać mężczyznę, to dobrze; białogłowe, źle.

13) Jak Cyganka przyńdzie, to trza włożyć wielgi palec za zapaske, to Cyganka nic nie poradzi.

14) Jak masło się nie chce zrobić, to trza włożyć czterdziestówkę w maśnice.

15) Jak kura zniesie małuśkie jaje, to w nim nima żółtka, tylko same biółtko (białko), to takie jaje je debówka; trza zaraz rzucić te jaje bez dach, bez chałupy, bo ta debówka to je zawdy na szkodę.

16) Jak kura pieje, to trza kure mierzyć bez całej chałupy, od okna do proga; kłado kure na ziemi i tak wykrecają. Jak dostanie łbem do proga, to łeb trza uciąć, jak ogonem, to ino ogon uciąć, to już nie będzie przeszkody (=złego wypadku).

17) Jak leco żórawie, to trza wołać: Kluczem, żórawie, kluczem! —bo jak zawołać: W koło, żórawie, w koło! —to poczno się ciągiem (=ciągle) w kółko krecić, aż im krew z dzioba póńdzie.

18) Jak drzewo nie chce rodzić, to we wstępne srode (=Popielec) idzie dwóch do tego drzewa, z siekiry; jeden chce ścioć, drugi nie daje: to drzewo będzie rodzić.

19) Na lubienie: Dać wypić w wódce lubczyk-ziele. Abo jak je takie drzewo, co śliwina o jabłonke trze gależ o gależ, to naskrobać z tego mieśca, gdzie trze, zetrzeć na proch i szczypte puścić w wódkę (żeby nicht nie widział) i dać wypić.

Pojęcia o świecie i ludziach przedstawiłam już dawniej („Wiśła”); tu dodam tylko świeżo zebrane materiały.

Utrzymuje się tu podanie, że niegdyś żyli na świecie wielkoludy, mający 60 stóp wzrostu; byli to ludzie Boga Ojca, my jesteśmy ludźmi Boga Syna, a po nas będą ludzie Ducha Świętego, tak mali, że pod miską mlócić będą. „Dawniej to w Zamościu przy jedyny dużej kamienicy wissiały, na żelaznym precie, wielkoludzkie rekawice z kamienia; jeden palec był jak nasza reka do łokcia. I wissiały tyż ogony (=warkocze) wielkoludzkiej dziewczyny we trzy poplety (=sploty), a jeden poplet szeroki skaczernie (=okropnie)—na styry palce.“ Zapewne ornamenty na starych gmachach brano za rękawice i warkocze wielkoludów.

O ziemi: „Tam prawda temu, że sie ziemia wykrecal ot, je i je tylko taka gadka! Ziemia to je równiusienka; pod ziemio kamień (=pokład kamienny), a pod kamieniem woda. A jakby nie było kamienia, toby ziemia była jak kulasza obrzednia.“

„A piekło to je z tego: Jak pan Jezus miał umierać, to polecił swoje dusze Bogu, a szatan czatował na dusze pana Jezusa, ale zasnoł se. Jak sie obudził, patrzy—a duszy Pana Jezusa już nima. Tak puścił sie lecieć, i leciał, leciał bez czterdzieści dni i czterdzieści nocy. I nie mógł sie nigdzie zatrzymać, i nie wiedział, dzie je. Aż sam zawołał: „Panie! niech sie stanie wola Twoja!“ i zapad sie w ziemie. I w tym miescu je piekło.“

„A pod nami to tyż je świat. Gospodarz jeden był ciekawy—wziął świder sworniowy, wykrecił dziure w bojowisku we stodole, ucho przyłożył do tyj dziury i slyszal, że tam także wołali na konie, na krowy i na świnię. Ale zaraz pomar ten gospodarz.“

„A czyściec to je w raj, w górze.“

„To co widać, to je obłoki, a dopir jak sie łyska, to niebo sie pokazuje. Gwiazdów zasie je tyle, co ludzi. A na księżycu—to każdy wie, choćby i głupi, że je chłop z widłami. — Słonko zaś to na św. Trójce jak wschodzi, to skaka w kółko. Jak je dzień jasny—to świeci „słonko,“ a jak je zamglone—to „słonecznica.“

Przy końcu świata Ancyhryst bedzie jeździć z piecem żelaznym i z zimno wodo. Komu bedzie gorąco i napije sie wody, a komu bedzie zimno i wlezie za piec—to już po nim. Na sodzie ostatcznym to bez pietnaście dni coraz nowe nawidziadła bedo ludziom pokazywać sie. Napirw wygino wszystkie stworzenie, a na ostatek ludzie. Przy ostatku wszyscy sie obaczo oczami, ale mówić nie bedzie można.“ „Ziemia po naszym pokoleniu bedzie sie palić, bo je wszystko grzyszne po nas. A słonko zawdy bedzie.“

(D. c. n.)

WIERZENIA, PRZESĄDY I PRAKTYKI LUDU ŻYDOWSKIEGO.

Zebrała

*Regina Lilientalowa*¹⁾.

I. D u s z a.

(Patrz „Wisła,” t. XII, str. 282, № 44, 45 i t. XIV, str. 644, № 140.)

141. Dusza jest w oczach: te „człowieczki“ w żrenicach—to dusza.

142. D.—to jakby dym.

143. D. uchodzi z człowieka przez nos, a uchodzi z takim trudem, jak gruba lina przez uszko od igły.

144. Gdzie leży umierający powinny się palić światła, aby duszy uchodzącej a lękającej się, bo grzesznej, było rażniej.

145. D. jest nieśmiertelna.

146. Bóg cieszy się z powrotu d. sprawiedliwego.

147. D. zostaje przy ciele aż do chwili pochowania.

148. Przez cztery tygodnie czuwa dusza przy grobie i płacze, wy-
rzekając na ciało, że przez nie cierpi.

149. W rocznicę śmierci swego ciała, jak również w miesiącu Elul, dusza stoi przy grobie, czekając odwiedzin bliskich sobie osób. Nie odwiedzić jej wtedy, byłoby to narazić ją na wstyd i upokorzenie; przytym jest wówczas najskuteczniej zanosić do niej prośby.

150. D. wielkiego grzesznika wstępuje niekiedy w człowieka lub zwierzę, a nawet w kamień polny, jeżeli zmarły grzeszył obmową.

151. ... niekiedy wstępuje w ptastwo domowe.

152. Za najcięższe grzechy, np. za zmianę wiary, dusza pokutuje w świni.

153. D. pysznego wstępuje po jego śmierci w psa.

154. D. spożywającego pokarmy „trefne,” t. j. wzbronione rytua-
łem, oraz dusza rozpustnika pokutują w drzewie lub jego liściach. Gdy wiatr porusza liśćmi, dusza znosi męczarnie i jęczy, wydając świsł przeciągły.

155. D. pokutująca jest wielkości kurzego jaja.

156. D. sprawiedliwego niekiedy wstępuje w rybę.

157. „Dybuk“ (=dusza pokutująca), przebywający w człowieku a wypędzany przez cudotwórcę na inne miejsce pobytu, okazuje chęć wydostania się przez gardło lub nozdrza, ale na rozkaz cudotwórcy wylatuje w postaci kółeczka przez mały palec od ręki lub nogi. Z po-

¹⁾ Porówn. Materiały, zamieszczone p. t. „Przesady żydowskie“, w t. XIV „Wisły“, str. 318 i 639.

koju d. uchodzi przez szybę, która w takim razie pęka. (Szczegóły w „Wisła,” t. XII, str. 282, Przesąd 44.)

158. Gdy człowiek zaśnie d. jego uchodzi do nieba, gdzie małym palcem prawej ręki zapisuje swe grzechy w t. z. „Księdze grzechów;” gdy wraca, człowiek się budzi.

159. Duszy jest nieraz trudno wrócić, a zdarza się, że wcale nie wraca; dlatego modlitwa poranna dzieci brzmi: „Dziękuję ci, Królu żyjący i wieczny, żeś mi zwrócił duszę moją w miłosierdziu Twoim.”

160. Przeznaczeniem duszy jest oczyszczać ciało.

161. D., będąc z przyrodzenia czystą i świętą, nie chce połączyć się z ciałem poziomym. Gdy, przyprowadzona przez anioła przed tron Boga, słyszy rozkaz wstąpienia w ciało, drżąca błaga Boga, aby nie wyganiał jej na ziemię.

2. Śmierć, obrzędy pogrzebowe, anioł śmierci.

[Patrz „Wisła,” t. XII, str. 278, 280 (№ 23), 281, 283; t. XIV, str. 318 (№ 1—3), 319 (№ 13, 14), 321 (№ 57), 640 (№ 77, 78, 642, 643 (№ 100).]

162. Przeznaczeniem człowieka jest żyć lat 70. Kto żyje krócej, ten musi rodzić się po raz drugi, przyobleczony w inne ciało. Kto żyje dłużej, ma swe lata darowane.

163. Gdy człowiek zachoruje, ważą w niebie jego grzechy i zasługi. Od tego, co przeważa, zależy wyrok śmierci lub życia.

164. Jeśli ktoś bardzo chory a ma łaski w niebie, to w nocy staje przed nim jeden z patriarchów i, dając mu lekarstwo łyżeczką, uzdrowia go.

165. Gdy chory płacze, znak to, że wyzdrowieje.

166. Odwiedzając chorego, odejmuje mu się sześćdziesiątą część choroby; dlatego goście są wtedy bardzo pożądani.

167. Chory doznaje ulgi, jeśli rzucić na niego cokolwiek z ubrania świeżo przybyłej osoby, np. chustkę, czapkę i t. p.

168. Jeśli kto wychodzi z niebezpiecznej choroby, dowód to, że ma grzechy odpuszczone.

169. Gdy ktoś jest bardzo chory, najbliżsi krewni dają świece do bóżnicy i rozdają jałmużnę, aby odwrócić nieprzychylny wyrok Boski.

170. ... mierzą chorego bawełną, poczym zrobiwszy z niej knot do świecy, tak długiej, jaki jest wzrost chorego, odnoszą tę świecę do bóżnicy, lub, owinąwszy ją całunem, zakopują na cmentarzu. Niekiedy, zamiast chorego, mierzą bawełną cmentarz.

171. ... albo mierzą cmentarz (wzdłuż i wszerz) płótnem, poczym je rozdają ubogim.

172. Chwila śmierci jest oznaczona z góry, a to w chwili, gdy dusza wstępuje w ciało.

173. Gdy chory zagląda za paznogie, lub skubie się w nos, jest z nim źle.

174. Zły to znak, gdy ciężko chory powiada, że go gardło boli, lub że go dławi; a gdy odwraca się twarzą do ściany, to koniec jego blizki.

175. Umierający zmawia modlitwę, w której powiada, że choć zły duch stara się go nakłonić do wyrzeczenia się Boga, on przecież wierzy, że Bóg jest prawdą i t. d. Obecni też się modlą o to, aby Bóg chronił umierającego od „siły nieczystej,” usiłującej zamącić mu rozum.

176. Nie wolno zostawiać konającego samego w pokoju.

177. Konającego nie wolno się dotykać, ani go odkrywać lub przykrywać.

178. Nie wolno z konającego odganiać much.

179. Być obecnym, gdy czyjaś dusza z ciała wychodzi — to dobry uczynek. Im więcej osób jest wtedy, tym większa ulga dla duszy.

180. Przy konającym nie należy płakać, bo to męki jego przedłuża.

181. Gdy kto ma ciężkie konanie, nakrywają go tałasem (= płaszcz modlitewny) lub suknią ślubnią.

182. ... albo zabierają mu z pod głowy poduszkę, przypuszczając, że znajduje się w niej piórko, które skon przedłuża.

183. Gdy matka kona, małe dzieci nie powinny być obecne.

184. Im człowiek lepszy i pobożniejszy, tym krócej kona.

185. Sprawiedliwego odwiedzają w chwili śmierci duchy innych sprawiedliwych.

186. Sprawiedliwy ogląda w chwili śmierci ducha Bożego.

187. Umierający widzi niekiedy anioła śmierci i prosi go, aby odszedł.

188. Gdy człowiek umrze, zaraz go kładą na słomie, aby odcierpiał karę za grzechy; słoma ta kłuje zmarłego jakby igły, i wtedy krzyk jego rozlega się od jednego krańca świata do drugiego. Kto wówczas przyłoży ucho do progu pokoju, w którym leży zmarły, ten usłyszy krzyk ów, ale zaraz umrze.

189. Gdy nieboszczyk ma brzuch wzdęty, kładą na tymże talerz cynowy lub przylepkę chleba z solą. Czyniąc to, proszą zmarłego o przebaczenie.

190. Nieboszczyk, któremu żal odejść ze świata, ma oczy otwarte. Przeprosiwszy go, należy je przymknąć, aby nie „wypatrzył“ kogo z domowników. Tak samo przymyka się mu usta.

191. Nieboszczyka kładą w pokoju ze zwróconą ku drzwiom twarzą.

192. Przy głowie zmarłego stawia się dwie zapalone świece; przy nich nic robić nie wolno. Gdy jedna z tych świec zgaśnie, zła to wróżba dla rodziny.

193. Gdy kto umrze, zaraz należy otworzyć okna, aby dusza wyszła.

194. Gdy kto umrze, usuwają z domu zwierzęta.

195. Nie wolno zamiatać pokoju, w którym leży ciało zmarłego.

196. Po śmierci domownika nie bielą ścian przez miesiąc.

197. Gdy ktoś w domu umrze, zatrzymują zegar w biegu.

198. Odwiedzający ciało zmarłego najpierw go przeprasza, a potem prosi go, aby wstawił się za nim na tamtym świecie i wyjednał mu łaski u patriarchów.

199. Kto na widok nieb. przeraził się, niech spojrzy na paznogie, potem na niebo, i tak 3 razy, a przestanie się lękać.

200. Aby dziecko nie lękało się nieboszczyka, należy ręką jego dotknąć ręki trupa. Albo: niech przejdzie przez słomę, na której leżał nieboszczyk.

201. Do chwili, gdy trzecią łopatą ziemi przysypany zostaje, zmarły nie wierzy, że żyć przestał; do tej chwili słyszy on żale i pochwały dla siebie, co mu wielką przynosi ulgi.

202. Ciało nieb. nie rzuca cienia, bo wraz z uchodzącą duszą uchodzi i cień człowieka.

203. Cień człowieka świadczy na tamtym świecie o życiu jego na ziemi, i stosownie do tego, jakie było to życie, prowadzi duszę do raju lub do piekła.

204. Dostaje żółtaczkę, kto przez okno przygląda się zwłokom.

205. Nikt, prócz członków bractwa pogrzebowego, nie powinien się przyglądać zwłokom w czasie, kiedy je myją i ubierają, bo tym się przyczynia wstyd zmarłemu. Krzątający się około tej czynności przepraszają zmarłego za przykrość mu wyrządzaną.

206. Strojem pośmiertnym kobiety jest biała koszula płócienna, na to takież chałat, dłuższy od koszuli, okrywa zaś całe zwłoki płachta płócienna. Na głowę daje się czepek, a zamężnej — nadto zawój z muslinu. Na nogi kładą płócienne pończochy, podwiązane białą tasiemką.

207. Kobieta, zmarła przy porodzie, dostaje jeszcze czarną spódnicę pod koszulę i trzewiki skórzane o podeszwach, nabijanych żelaznemi ćwieczkami.

208. Kobieta, zmarła podczas ciąży, dostaje, prócz zwykłej odzieży pośmiertnej, jeszcze zieloną czeratową spódnicę.

209. Zmarła narzeczoną dostaje czarną tasiemkę u czepka (zamiast białej). Na grobie stawiają jej baldachim z czarnej materji na czas nabożeństwa. (Zwyczaj ten zanika coraz więcej.)

210. Zmarłego należy jak najprędzej pochować: im dłużej on leży na słomie, tym większa dlań hańba i wstyd.

211. Po wyniesieniu zwłok należy zaraz drzwi zamknąć, aby zmarły nie wrócił.

212. Gdy umiera sprawiedliwy, aniołowie, zrodzeni z jego dobrych uczynków, przemawiają za nim do Boga, wyliczając jego zasługi.

213. Prawowiernego czeka na tamtym świecie wieniec z jego modlitw.

214. Po śmierci grzesznika grzechy jego, w postaci złych duchów, świadczą przeciw niemu.

215. Kto za życia popełni skrycie występki, ten ma ciężkie konanie, a po śmierci błąka się po świecie.

216. Gdy umrze wielki grzesznik, woda nie daje mu przejść przez siebie, a nawet piekło go nie wpuszcza.

217. Gdy umrze grzesznik, złe duchy szarpią jego ciało, a wirując i krążąc, powodują wicher duży. Szczególnie wielki wicher towarzyszy samobójczej śmierci wisielca.

218. Samobójca musi wałęsać się po wieki wieków. Nawet przyjscie mesjasza nie położy kresu jego cierpieniom.

219. Samobójcy nie myją i nie ubierają, lecz, nakrywszy go płótnem, chowają przy parkanie cmętarnym.

220. Na pogrzebie prawowiernego aniołowie tańczą, radując się z jego przybycia. Na pogrz. grzesznika cieszą się złe duchy.

221. Przy spotkaniu się z pogrzebem należy przyłączyć się do orszaku, bo ile jest osób, tyle aniołów wychodzi naprzeciw zmarłego.

222. Na pogrzebie należy wrzucić datek do puszeki pogrzebowej, aby uchronić się od nagłej śmierci. (Pieniądze te przeznaczone są na koszty pogrzebu dla ubogich.)

223. Nie należy patrzeć przez okno na przechodzący pogrzeb, aby nie umarł kto z domowników.

224. Zła to wróżba, gdy przy wjeździe do miasta napotyka się pogrzeb.

225. Pogrzeb winien kierować się ku cmętarzowi utartą drogą.

226. Nieboszczyka chowają głową, zwróconą ku wschodowi, aby w chwili przyjscia mesjasza, powstawszy, mógł iść wprost przed siebie.

227. Człowieka, który się urodził z zębami, chowają twarzą na dół.

228. Dwuch wrogów nie chowają obok siebie, ni grzesznika obok prawowiernego.

229. Przejazd z nieboszczykiem przez wodę czyni mu wielki wstyd. Jeżeli do miasta rodzinnego zmarłego inną drogą dostać się nie można, to lepiej go pochować w obcym miejscu.

230. Grób urządza się z trzech desek, t. j. dwie dają się po bokach i jedna na wierzch. Tylko pierworodni i potomkowie dawnych kapłanów dostają czwartą deskę—pod spód.

231. Pod głowę zmarłego kładzie się woreczek, napęczniony ziemią, niekiedy przywiezioną z Jerozolimy; ta ziemia chroni ciało od robaków.

232. Na desce, przykrywającej nieboszczyka, jeden z bractwa pogrzebowego układa zerwaną z drzewa gałązkę w kształcie zamka, przycym mówić: „Oby z tobą ziemia się zamknęła!”

233. Amputowaną rękę lub nogę należy pogrzebać na cmętarzu z zachowaniem zwykłych obrzędów pogrzebowych, aby po śmierci człowiek łatwo odnalazł braknący członek.

234. W teje samej myśli zakopują w ziemię znaną kość ludzką.

235. Grzebiąc zmarłego, napominają go, żeby nie zapomniał swego imienia, gdy przyjdzie anioł podziemny. Żegnają go też słowami. „Ten świat już nie dla ciebie”.

236. Dobre uczynki zmarłego, wspominane przy pogrzebie i na cmentarzu, odejmują trzecią część jego cierpienie w grobie.

237. Kto na pogrzebie uroni coś do grobu, ten rychło umrze.

238. Kto niedobrze został pogrzebiony, ten przychodzi w nocy do swych blizkich, aby czynić im wyrzuty. Zaraz nazajutrz należy iść na cmentarz i grób poprawić.

239. Jeżeli zmarły często zjawia się w nocy, trzeba iść na grób jego i prosić go o przebaczenie.

240. Jeżeli zmarły zbyt jest opłakiwany, to nie ma spokoju w grobie i ukazuje się swym blizkim w zmoczonej od ich łez odzieży.

241. Gdy dziecku daje się imię zmarłego, to z oczu tego ostatniego spadają skorupki, położone mu do grobu. (Patrz „Przesady żydowskie“: „Wisła“, t. XII, str. 278.)

242. Kobiecie, która za życia nie nosiła kolczyków, robaki po śmierci dziurawią uszy.

243. Dziewczynie za grzechy robaki w grobie włosy do ust wypychają.

244. Kto za życia nie nakładał *tefilin*, temu po śmierci robaki wiercą dziury w głowie i lewej ręce.

245. Pogrzebieni w Jerozolimie nie cierpią od gadów i robaków.

246. Ciało prawowiernego po śmierci w proch się rozsypuje.

247. Wracając z pogrzebu należy prędko i nie oglądając się, a po drodze zerwać trochę trawy i przez głowę rzucić ją poza siebie, lub obiema rękami przerzucać piasek poprzez swoje ramiona.

248. Wracając z pogrzebu, należy przed wejściem do domu polać ręce wodą. Kwarty do tego użytej nie podaje się drugiej osobie, ale stawia się dnem do góry, i każdy sam ją sobie bierze. W danym wypadku ręk niczym się nie wyciera — same muszą oschnąć.

249. Osierocony, odchodząc od grobu, nasypuje sobie piasku w obuwie.

250. Wróciwszy z pogrzebu, osierocony zjada jajko i obwarzanek, posypane popiołem. Posiłek ten musi być przyniesiony przez kogoś z obcych i kupiony na cudzy koszt.

251. Przez czas pokuty nie wolno się witać z osieroconym.

252. Postawienie pomnika na grobie jest dla zmarłego aktem uroczystym i radosnym; żywi, biorący w nim udział, wykrzykują: „Mazłtow, mazłtow!“

253. Odwiedzając grób, osierocony skarży się zmarłemu na swą dolę i błaga o względy; niekiedy też składa na grobie zwiniętą kartkę, w której wyraża swe prośby, podpisawszy imię swoje i swej matki. Kartki takie najczęściej bywają układane na grobach cudotwórców.

254. Odchodząc od grobu, należy zostawić znak swej bytności: położyć pęczek trawy związanej, lub wetknąć gałązkę albo patyczek, aby zmarły pamiętał o odwiedzinach.

255. Na grobie wielkiego rabina lub cudotwórcy stawia odwiedzający zapaloną świecę.

256. Nie wolno zabierać z grobu choćby grudki ziemi, ani też na inny grób ją przelożyć.

257. Kwiatów na grobie rwać nie wolno; nie należy też ich wachać, bo pozbawiają powonienia.

258. Owoców z drzew, rosnących na cmentarzu, nie wolno zrywać, a tymbardziej jeść.

259. Zmarły, mający łaski w niebie, odwiedza we śnie swych bliskich.

260. Jeśli we śnie ukazuje się zmarły, czyniąc wyrzuty, przypominając doznaną krzywdę za życia, to trzeba nazajutrz iść na grób jego i w obecności dziesięciu mężczyzn przepraszać go.

261. Dobrą jest wróżbą, gdy we śnie nieboszczyk coś przynosi. Odwrotnie zły to znak, gdy coś zabierze, dlatego wszelkim w tej myśli prośbom nieboszczyka należy odmawiać.

262. O dwunastej w nocy zmarli schodzą się w modlitewni, gdzie czytają Torę; kogo z żywych poproszą o odczytanie ustępu z Tory, ten wkrótce umrze.

263. Kto, spotkawszy w nocy zmarłego, schwyci go za pas, ten dowie się od niego o wszystkim, co się dzieje na tamtym świecie. Jeżeli zdradzi się z tym przed kim, to natychmiast umrze.

264. Panna młoda, lub pan młody, przed ślubem odwiedzają groby zmarłych rodziców, a przepraszając za krzywdy wyrządzone, proszą ich na wesele; jakoż zmarli rodzice stawiają się na ślubie, błogosławiąc dzieciom.

265. Kto się żeni z wdową, nie powinien zbliżyć się do niej w noc poślubną, bo skrzywdziłby zmarłego męża.

266. Rodzice nie przechodzą po śmierci cierpień zagrobowych, jeżeli za ich życia żadne dziecię im nie zmarło.

267. Aby nie zapomnieć w grobie swego imienia a tym samym ulżyć sobie w cierpieniach, należy codziennie przy modlitwie zmówić werset biblijny, który na początku i końcu ma litery, będące inicjałami swego imienia.

268. W rocznicę śmierci rodziców dzieci palą świece za ich dusze, a wieczorem tego samego dnia nie wychodzą na ulicę.

269. Aby narodziła się ręką nie powiększała się, należy ją potrząsnąć trzy razy ręką zmarłego.

270. Kto ma kość martwą, niech ręką trzy razy okrąży głowę trupa

271. Chcąc pozbyć się brodawek, dobrze jest obwieść je ręką zmarłego. W tenże sposób usuwa się wole, tudzież „płomień” na ciele noworodka.

272. Ogniópór dobrze jest „zgarnąć” ręką zmarłego.

273. Aby ręce przestały się pocić, trzeba dotknąć się zmarłego.

274. Pijak pozbędzie się nałogu, jeżeli napije się wody, którą obmyto zmarłego.

275. Matka, której dzieci się nie chowają, ubiera nowonarodzone niemowlę w koszulkę, zrobioną z resztki płótna, użytego na koszulkę dla zmarłego. Jeśli płótna tego na koszulkę nie starczy, to robią z niego rękawek, który wszywają w zwyczajną koszulkę.

276. Palec trupa otwiera wszystkie zamki.

277. Przy pomocy żył (ścięgien?), wyciągniętych ze zmarłego, udaje się złodziejom ubezwładnić okradanych.

278. Rosa z ziół, rosnących na grobach, pomaga w cierpieniach oczu.

279. Na cztery tygodnie przed śmiercią człowiek żółknie, bo już chodzi za nim anioł śmierci.

280. Gdy człowiek chory ma umrzeć, anioł śmierci staje przy jego głowie; w razie przeciwnym staje u nóg chorego.

281. Anioł śmierci czeka z wymierzeniem ciosu, gdy jego ofiara w świętych księgach jest zatopiona.

282. Miłość żony do męża odpędza anioła śmierci i zniewala Boga do zmiany nieprzychylnego wyroku.

283. Anioł śmierci trzy razy zbliża się do swej ofiary i za trzecim razem dopiero wymierza cios.

284. ... zjawia się niekiedy w postaci muchy. (Dlatego nie wolno spędzać much z konającego. Patrz № 178.) Gdy człowiek umrze, muchy, przedtym około niego krążące, znikają.

285. Małym dzieciom ukazuje się niekiedy anioł śm. w postaci koła.

286. Ujrawszy anioła śmierci, człowiek z przerażenia otwiera usta, w które anioł natychmiast wpuszcza kroplę żółci, wiszącą na końcu jego miecza; od tego chory żółknie. Dawniej anioł śm. „przecinał” człowiekowi życie—pod skórą.

287. Anioł śmierci, bojąc się złorzeczeń ludzkich, nie chciał początkowo przyjąć powierzzonej sobie misji i zgodził się dopiero wtedy, gdy Bóg zesłał na ród ludzki choroby rozmaite, każąc mu w nich upatrywać przyczyny śmierci.

288. W czasie epidemji anioł śmierci zabija już nie wskazanych mu przez Najwyższego, lecz bez wyboru. Aby nie wpaść mu w oko, nie należy chodzić środkiem ulicy, lecz stroną, ścieżką, ale najbezpieczniej jest wtedy wcale nie wychodzić z domu.

289. Na pogrzebie, chcąc uniknąć spotkania z aniołem śmierci, nie należy ani wyprzedzać mar, ani kroczyć tuż za niemi, lecz usuwać się więcej na stronę.

290. Mesjasz zabije anioła śmierci.

3. Aniołowie, prorok i Bóg.

(Patrz „Wis.” t. XII, str. 281 i 282.)

291. Aniołowie mają po sześć skrzydeł, z których dwa służą im do osłonięcia swych nóg cielőcych. Przelatują oni od jednego kranca

świata do drugiego; wiedzą co będzie, a rozmawiają z sobą po hebrajsku.

292. Codzień jest dla człowieka stwarzany nowy anioł opiekuńczy.

293. Gdy człowiek chodzi, anioł go podtrzymuje; jeśli upadnie, dowód to, że a. opuścił go na chwilę. Jeżeli w upadku człowiek nie poniesie szwanku, znaczy to, że an. opiekuńczy podłożył mu rękę.

294. Żegnając udającego się w podróż, należy powiedzieć: „Spotkaj Eljasza i przyslij go do nas!”

295. W piątek wieczorem (uważa się to za początek sabatu), prorok Eljasz siada pod „drzewem życia“, znajdującym się pośrodku raju, i zapisuje tych, którzy należą do „przywitali“ sabat.

296. Prorok Eljasz skarżył się przed Bogiem na Żydów, że obrzędu obrzezania nie dopełniają należycie. Za tę obmowę Bóg ukarał proroka, rozkazawszy mu odtąd uczestniczyć w każdym takim akcie. Przeto podczas obrzędu prorok siedzi na krześle, umyślnie dla niego przygotowanym, a przez nikogo niezajętym, obok tego, kto trzyma dziecko. Gdy ten jest niegodny szacunku, prorok sam trzyma dziecko.

297. W czasie wieczerzy paschalnej prorok Eljasz nawiedza każdą rodzinę, błogosławi napój w kielichu dla niego postawionym i pije z niego. Na powitanie przybywającego proroka wszyscy wstają, najmłodsze dziecko drzwi otwiera, a gospodarz woła: „Witajże nam, rabbi“.

298. Wrota, przez które ży ludzkie idą do Boga, nigdy nie są zamknięte.

299. Bóg zbiera ży ludzkie w kielichu złotym.

300. Bóg codzień roni dwie łzy z żalu za zburzoną świątynią.

(D. c. n.)

KOŚCIÓŁ W WITANOWICACH.

(p. tabl. II-ga).

W dawnym księstwie Zatorskim, które wraz z sąsiednim księstwem Oświęcimskim, pod nazwą „Powiatu Śląskiego“, zaliczone było do województwa Krakowskiego, wśród wzgórzystej okolicy rozpoczynających się już Beskidów leży prastara wieś Witanowice.

Jako gniazdo rodu Rawitów-Witanowskich, sięgać może owych czasów, gdy Werszowcy, rodzina możnowładców czeskich, uchodząc prześladowań, panujących naówczas nad Węłtawą Przemysłowowiczów, schroniła się do Polski, gdzie Bolesław Krzywousty obszerne nadał im włości (Długosz, I, 431). Nadanie ziemi tej, kędy obecnie zasiały Witanowice, zastać tu mogło dawniejsze już osady: Żar, Babice, Babiny, rozłożone na pobrzeżach spławnej rzeki Skawy. Że by-

ła to pierwotnie miejscowość lesista, świadczą dotąd zachowane nomenklatury: Bukowiec, Wyrębisko, Zalesie; rozwinętej zaś kolonizacji, przez obdarzonych tą ziemią właścicieli, dowodzi sąsiednia wies Lgota, stanowiąca przed wiekami jedno z Witanowicami dobra.

Lud miejscowy opowiada, iż, gdy z rozkazu panującego nad tą krainą ks. Janusza zamierzano zbudować świątynię (lecz nie na tym miejscu, gdzie obecnie stoi) i robotnicy gromadzili materiał budowlany — niepojętym sposobem, co w dzień przysposobiono, nazajutrz znajdowano w innym zupełnie miejscu, na stoku wzgórza. Doszło to do wiedzy księcia, który, upatrując w tym wyższą wolę, w miejscowości cudownie obranej wznosił przybytek Panu.

Księciem tym mógł być tylko Janusz I, syn Władysława ks. oświęcimskiego, panujący na początku XIV wieku. On to w młodości swojej poświęciwszy się stanowi duchownemu, fundował niejedną kościół w tych stronach (np. we Włosiennicy) i, jako scholastyk krakowski, z całego swego księstwa uposażył scholasterję katedralną. Podobny zapis—jak podaje Długosz—ciążył i na parafji Witanowskiej. Najdawniejsza o kościele tym wzmianka znajduje się w rachunkach zbieranej z rozporządzenia papieża Klemensa V (1311 r.) dani na oswobodzenie Ziemi Świętej. Duchowane w archiwum Watykańskim rachunki z lat 1326 i 1328 wykazują, iż z kościoła w Witanowicach, którego plebanem był Paweł, płacono natenczas świętopietrza od 6 do 8 $\frac{1}{2}$ skotów (Theiner. *Monumenta*, I, 240—1).

Pamięć tej fundacji książęcej, zachowanej w ustach ludu, stwierdza dyplom Przemysława, ks. cieszyńskiego, z 1377 r., w którym przyznaje Zdzisławowi, dziedzicowi Witanowic, „jus patronatus“ do kościoła tamtejszego, przyczym kościół ten zowie „*ecclesia ducalis*“ (*Kodeks dypl. katedry Krakowskiej*, II, 68). Właśnie to prawo prezenaty, służące zawsze dziedzicom, domyślać się kazało, że fundatorem kościoła w Witanowicach nie był jedynie tylko ks. Janusz. Odkryty świeżo przez nas w aktach kapituły Krakowskiej dyplom Jana ks. oświęcimskiego, datowany z jego stolicy „*feria secunda ante Nativitatem B. V. Marie*“ 1380 r., przypuszczenie to zupełnie stwierdził. Oto w tym czasie, stanąwszy na zamku Oświęcimskim przed księciem Piotr i Jan z Witanowic, bracia Jakóba ze Lgoty, wsi tych dziedzice, zeznali, iż akt fundacyjny kościoła w Witanowicach, uczyniony przez poprzednika księcia oraz szlachtę, dziedziców wsi tej, spłonął razem z kościołem, prosząc przeto księcia Jana o potwierdzenie dawnych praw i przywilejów tejże świątyni. Książę, przychylając się do ich

sluszných żądań, wystawił wspomniany dokument, stwierdzając prawo plebana do pewnych gruntów, wolnego cięcia drzew i swobodnych pastwisk w lesie Lgockim, na tak zw. „Popiej górze“.

Dyplom ten świadczy, iż po spaleniu się pierwotnego kościoła dziedzice Witanowic wystawili nowy, również drewniany, własnym kosztem. W sto lat później Jan Długosz, spisujący uposażenie djecezji Krakowskiej, tak nam o kościele tym opowiada: „Witanowice, wieś mająca drewniany kościół parafjalny pod wezw. św. Mikołaja, której dziedzicami są: Piotr, Michał i Jan; w tej wsi są łany, z których bywa opłacana dziesięcina pieniężna przez dobrowolne przyznanie wyznaczonych groszy z każdego łanu dla biskupa krakowskiego“. Do parafji należały wówczas: Lgota i Babice; skład ten przetrwał do chwili obecnej, z tą jedynie różnicą, że wspomniane na innym miejscu przez Długosza Witanowice (zapewne „Nowe“), dziedzictwo Jakóba Witanowskiego, należały do parafji w Zakrzowie, dziś zaś stanowią jedną z tamtymi całość (*Liber Beneficiorum*, I, 82; II, 260).—Powtórna ta budowla kościoła w Witanowicach przetrwała do połowy XVII wieku, kiedy po raz trzeci, na miejscu zniszczonej, zbudowano również drewnianą, do dziś dnia istniejącą. Stwierdza to napis, umieszczony za wielkim ołtarzem: „Hec ecclesia exstructa est A. D. 1663 sumptu. C. D. Balth. Paszkowski“. Konsekrowany w tymże roku przez Mikołaja Oborskiego, sufragana krakowskiego, pod dawnym wezwaniem św. Mikołaja, posiada bractwo różańcowe, założone w r. 1616.

Struktura kościoła tego była zapewne wzorowana na pierwotnej budowli, przypomina bowiem podobne gmachy drewniane z XIV wieku. Szczytową ścianę stanowi dzwonnica czworoboczna, będąca zarazem przedsionkiem. Szeroka u podstawy, zwęża się ku górze, gdzie znów nakształt głowicy rozszerza się czterema ścianami. Zakończenie wieży stanowi baniasta kopuła, przypominająca cerkiewki Rusi Halickiej, nabytek przebudowy XVI wieku—gdyż poprzednia musiała być bardziej strzelista. Ozdobę wieży stanowią zębate wycięcia ścianek. Prostokątny plan kościoła, w części kapłańskiej zakończony wielobokiem, dach stromy kryją gonty. Wnętrze kościoła o drewnianym stropie, pomalowane klejowemi farbami, obejmuje szereg obrazów z życia N. Marji Panny i Dzieciątka Jezus. *Michał R. Witanowski.*

TYPY MIESZCZAN KRASNOSTAWSKICH.

(p. tabl. I-sza).

Przesyłam fotografie Tomasza Maruchy i Franciszka Jakubca, mieszczan krasnostawskich. Są oni potomkami w prostej linii hajdamaków, którzy w r. 1768 zostali skazani na wygnanie z Podola do Lwowa i Krasnegostawu i oddani pod dozór starostom.

Starosta lwowski wszystkich wytępił, krasnostawski zaś użył do karczowania zarośli na polach miejskich i tam ich osiedlał; powstały się z tego osady, dotąd istniejące: Zakręcie, Zastawie, Krakowskie, które następnie wcielono do miasta, jako przedmieścia.

Przedmieszczanie tutejsi wiedzą z podań, przechodzących z ojca na syna, o swoim pochodzeniu. Wojciech Bojarski z przedmieścia Krakowskiego opowiada, że jego praojciec nazywał się inaczej, że był bojarem; dostawszy się do niewoli został też przezwany Bojarem *vel* Bojarskim. To samo o swym praojcu utrzymuje Bojarczuk z Zakręcia.

Ubiór, przedstawiony w dołączonej tu reprodukcji, używany był od dawnych czasów przez przedmieszczan tutejszych; zniknie on wkrótce, gdyż noszą go już tylko starsi wiekiem; młode pokolenie przywdziało już kuse marynarki, a starodawne nakrycia głowy zastąpiło czapkami baraniami, podobnemi do gniazd wronich.

Krasnostaw.

Erazm Wierzbowski.

ODCZYT KLAATSCH'A¹⁾ O NAJSTARSZYCH NARZĘDZIACH KAMIENNYCH, NA KTÓRE ZWRÓCIŁY UWAGĘ ANTROPOLOGÓW ODKRYCIA A. RUTOT'A.

Wiadomo Panom, jak wielką rolę odegrały w rozwoju antropologii znaleziska, z którymi zapoznał świat uczony w szóstym dziesiątku lat ubiegłego stulecia Boucher de Perthes; po raz pierwszy wówczas wykopano w dolinie Sommy narzędzia kamienne wraz z kośćmi zaginionych ssaków dyluwjalnych. Dopiero od tego czasu mogła być wogóle powzięta myśl, że człowiek istniał już w okresie bardzo odległym, i narzędziom tym przypis-

¹⁾ Wygłoszony na Zjeździe antropologów niemieckich w Worms w r. 1903 (Corrpdbl. d. d. Ges. f. Anthropol. u. Urgeschichte. XXXIV, str. 102).

sano taką rolę, jaką w geologii odgrywają skamieniałości przewodnie (*Litfossilien*) — rolę momentów, dowodzących obecności człowieka tam, gdzie z kości jego nic nie pozostało. Dało to początek owym, w nowszych czasach dopiero zakończonym sporom o to, czy człowiek był społeczny zaginionym zwierzętom: mamutowi, nosorożcowi i t. p. Dziś wszystkie wątpliwości, które wtedy istniały, dawno zostały usunięte, wiemy, że człowiek spólistniał nie tylko z mamutem, ale nawet z innymi postaciami, które są geologicznie o wiele od niego starsze; wiemy, że mamut jest postacią dość późno występującą, że poprzedziły go inne słonie, jak *Elephas antiquus* i *E. meridionalis*. Jeżeli o tym dziś wiemy, to wiadomości te zawdzięczamy znowu odnajdywaniu pewnych narzędzi kamiennych, które wzbudziły wielkie zainteresowanie. Były to piękne i zgrabne noże krzemienne, których dziś nie braknie w żadnych zbiorach i dla swej pospeliwości mogą już być uważane poprostu za okazy szkolne narzędzi starszego okresu kamiennego.

Zwolna dopiero ugruntowało się przeświadczenie, że różne postaci takich narzędzi istniały w tym okresie kamienia, który nazywamy starszym, w przeciwstawieniu do młodszego, który to ostatni wyróżnia się tym, że człowiek narzędzia krzemienne umiał już także wygładzać. Podzielono starszą epokę kamienia na oddzielne okresy na podstawie mniemania, że człowiek w poszczególnych okresach tej epoki posługiwał się wyłącznie pewnymi określonymi typami narzędzi; okresy te otrzymały nazwy od pierwszego lub najważniejszego miejsca znalezienia (Chelle, Moustière i t. d.). Wprowadzenie momentu geologicznego do prahistorji było niewątpliwie wielkim krokiem naprzód, któremu Francuzi, wielcy mistrze klasyfikacji, zdobyli sobie wielką zasługę. Ale jak każdy pomysł ludzki, tak i ten podział miał wadę ograniczoności, wskutek czego system, który imię Mortilleta głośnym uczynił, przestawał być stopniowo przydatnym; w nowszych czasach toruje sobie drogę przeświadczenie, że narzędzia, które człowiek wyrabiał, były jeszcze o wiele różnorodniejsze, niż dawniej przypuszczano. Wprawdzie Francuzi i dziś jeszcze opierają się nadeszłemu z innej strony postępowi. Wspomnieć tu muszę imię człowieka, który w dziedzinie badań nad starszą epoką kamienną największą położył zasługę: jest nim Rutot z Brukselli, który pierwszy wskazał, że w Belgji w okresie, odpowiadającym naszej epoce lodowej, panuje wielka różnorodność w narzędziach kamiennych.

Ostatnimi czasy miałem szczęście odbyć podróż naukową¹⁾ do Anglii, Niemiec, Belgji i Francji i wyznaję, że wszystkie moje pojęcia o najstarszych narzędziach kamiennych uległy pewnej zmianie. Gdy po raz pierwszy przybyłem do Francji, grzęzłem jeszcze w rutyzmie, ale gdy się przyjrzałem pod kierunkiem Rutot'a w jego zbiorach całej różnorodności narzę-

¹⁾ Porównaj moje sprawozdania z podróży, odczytane w „Berliner anthropologische Gesellschaft“ w dd. 10 stycznia i 18 lipca r. 1903 („Zeitschr. f. Ethnol.“, 1903), gdzie podany jest również wykaz ważniejszych prac Rutot'a.

dzi kamiennych i gdy w nienaruszonych warstwach żwirów Hélinu (pod Mons) sam je wykopywał, spostrzegłem, że się znalazł w poważnym kłopotcie. Nawet na najmniej obrobionych narzędziach krzemiennych dadzą się niewątpliwie dostrzec ślady ręki ludzkiej. Punkt to bardzo doniosły, i było rzeczą naturalną, że się rychło zbudziła opozycja i ustaliło przekonanie, że uznawanie tych przedmiotów za narzędzia polegać może na złudzeniu, oraz że są przyczyny naturalne, które przez ciśnienie lub uderzenie mogą kształt kamienia o tyle zmienić, iż okaz, ukształtowany drogą naturalną, można błędnie uznać za opracowany ręką ludzką. Krytyka musiała być tym intensywniejsza, że się już w innych wypadkach myłono co do śladów działania ręki ludzkiej. W kwestji, czy już przed okresem lodowym, w t. zw. epoce trzeciorzędowej, człowiek istniał w naszych okolicach, zachowywać należy jak największą ostrożność; w związku z nią stoi cała kwestja jego istnienia w tym czasie, a chodzi tu o czasy bardzo odległe. Jeszcze większy zamęt sprawiała okoliczność, że cały szereg znalezisk, które przytaczano na dowód istnienia człowieka trzeciorzędowego, nie doznał potwierdzenia. Pierwszym więc znaleziskiem narzędzi kamiennych z epoki trzeciorzędowej również nie dawano wiary. Dziwna ironja historii wiedzy zrzuciła, że to właśnie duchowny francuski, ksiądz Bourgeois (1867), zmuszony był bronić wielkiej dawności narzędzi, która nie znalazła wiary. Dziwne, że to właśnie ksiądz wystąpił z twierdzeniem o istnieniu człowieka w czasie, kiedy nikt nie uważał za możliwą myśl o jego istnieniu w epoce tak odległej. Chociaż specjalnie co do znalezionych przez siebie okazów, człowiek ten nie miał powodzenia, jednak droga, którą kroczył, jest godna wielkiej uwagi; wprawdzie nie w tej warstwie, o której on myślał, jednak znaleziono podobne rzeczy w innych. Atoli wszystkie te pojęcia musiały dojrzewać powoli i zwolna tylko wyświetlała się kwestja, czy ślady ręki ludzkiej zostały tu trafnie rozpoznane. Zapoczątkowanie rozległych w tym przedmiocie badań jest zasługą Rutot'a, i rzec można, że walka, która się o te zagadnienia wzniesiła, zbliżyła się do końca ¹⁾. Albowiem dla rozstrzygnięcia pytania, czy dany kamień był lub też nie był w ręku człowieka, istnieją znaki niezawodne. Materjał, z którego noże kamienne były odłupane, zachował się w licznych wypadkach jako rdzeń (nucleus). Ludzie, po których narzędzia te pozostały, za pomocą silnych uderzeń, skierowanych na krawędź takiego klocka kamiennego, odłupywali noże, jak łupinki z cebuli; przytym na muszlowatej płaszczyźnie złomu powstawała za każdym razem lekka półkula wyniosłość—to, co nazywamy „sęczkiem odbicia“, po francusku: *bulbe de percussion*. Guziczek ten może powstać tylko na skutek działania ręki ludzkiej. Jeżeli następnie ludzie owi uderzali jednym kawałkiem krzemie-

¹⁾ Całkiem niezależnie od Rutot'a traktował E. Krause z berlińskiego „Völkermuseum“ stronę techniczną zagadnienia i w zesz. IV rocznika 35-go „Zeitschr. f. Ethnol.“ ogłosił swoje wyniki, które moje poglądy zupełnie potwierdzają

nia o krawędź drugiego, to skutkiem odprysków tworzyły się w krzemieniu krążkowate szczerbki, które to szczerbki tak przypadają, że widoczne są zawsze po drugiej stronie krawędzi. Te szczerbki nazywają Francuzi „*retouches*”, i można ściśle oznaczyć kierunek uderzenia, potrzebnego do utworzenia danych szczerbek. I tu znówu wywiązał się spór o to, czy tego rodzaju okształcenia mogą być przyczynami naturalnymi wywołane? Niektórzy uczeni francuscy i niemieccy przypuszczali taką możliwość, twierdząc, że okształcenia takie mogły powstawać przez przypadkowe uderzania się kamieni, albo pod działaniem gorąca lub mrozu. Muszę wyznać, że powstawanie takich szczerbek skutkiem jakichkolwiek przyczyn naturalnych uważam stanowczo za niemożliwe, bo jakieżby to mogły być przyczyny, któreby na tej samej sztuce warunkować mogły powstawanie szczerbek w tym lub owym kierunku? Jakby to się stać mogło, że się te szczerbki pojawiają w nielicznych miejscach? czemu nie na całej krawędzi? Gdy się widzi, że są one tak rozmieszczone, iż wynika z nich pewien określony sposób stosowania całej sztuki kamienia, że ta ostatnia staje się przez to narzędziem—wszelkie wątpliwości upadają. Możemy odróżnić rozmaite rodzaje narzędzi: Kamienie do uderzania, kamienie do skrobania, świderek, piły. Znależiska belgijskie wykazały, że odbywało się tu stopniowe udoskonalanie się tych narzędzi. Obłędem byłoby mniemać, że człowiek od razu stwarzał piękne formy, takie, jakie widzimy w nożach migdałokształtnych¹⁾. Ponieważ człowiek sam pochodzi od formy niższej, przeto brał on początkowo kamień taki, jaki znajdował na ziemi, i używał go jako narzędzia; na następnym stopniu cokolwiek pomagał on przyrodzie, zmieniając niewiele kształt naturalny; na trzecim dopiero tworzył świadomie, podług pewnego wzoru, sztucznie obrabiał kamień. Nóż szeleński był narzędziem uniwersalnym, które mogło być używane do rąbania, piłowania, świdrowania i stanowiło niewątpliwie w owych czasach cenny skarb.

Gdy kawałek kamienia bywa używany do uderzania, to w miejscach jego zetknięcia z uderzanym materiałem powstają małe wgłębienia, nierówności, które wskazują wyraźnie, że krzemień w miejscu uderzenia uległ wyłupaniu. Jeżeli ślady takiego wyłupania występują tylko w pewnych miejscach, to kamień nie był uderzany, lecz służył do uderzania i wytwarzania szczerbek na innym. Badania odkryły wielką różnorodność tych form, wykazały, że zarówno formy wysoce doskonałe, jak zupełnie pierwotne, przytrafiają się obok siebie. W tych samych pokładach, w których Francuzi znajdowali tylko piękne formy, Rutot znalazł mnóstwo innych narzędzi kamiennych pierwotnych, i okazało się, że te narzędzia pierwotne mogą służyć za środek dający do wykazania obecności człowieka. Zaznaczano już niejednokrotnie, że dokonane przez naszych sąsiadów zachodnich, mianowicie zaś przez Belgijczyków, postępy w badaniach paleolitu, były dotychczas w Niemczech zamało uwzględniane. Najlepszym tego

¹⁾ Autor ma tu na myśli pięknie wykończone narzędzia t. zw. epoki solutreńskiej.

dowodem okoliczność, że tego rodzaju pierwotne narzędzia kamienne mogły do czasów ostatnich pozostać w Niemczech prawie zupełnie nieznanymi. Poza nielicznymi znaleziskami, jak w znanej stacji Taubach, miejscu pobytu najdawniejszego myśliwca dyluwjalnego — nie mieliśmy prawie żadnych oznak pobytu człowieka w epoce lodowej w Niemczech północnych¹⁾.

Po ukończeniu studjów w Belgji i Francji, wróciłem do Berlina i zadałem sobie pytanie: czy w formacjach dyluwjalnych jego okolic nie miałyby się znaleźć czegoś podobnego temu, co znaleziono w okolicach Paryża? W kopalniach żwiru pod Britz i w piaskach, osadzonych przez rzeki z epoki lodowej, a pokrywających słynne zwały (moreny) Rüdersdorfskich gór wapiennych z ich licznymi rysami lodowcowemi, znajdowałem owe narzędzia pierwotne. W Muzeum magdeburskim szukałem, czy się czasem nie znajdują jakiegokolwiek okazy ze starszej epoki kamiennej; powiadano mi, jakoby nauczyciel miejscowy, p. Bieve, znajdował niegdyś tego rodzaju przedmioty, jakoby były one odesłane do Berlina, a Virchow uznał je za wątpliwe, i że z tego powodu poszły w zapomnienie. Przyniesiono skrzynkę z jakiegoś zakątka Muzeum — poznałem, że wyroby te odpowiadają belgijskim. Z mojej inicjatywy dr. Hahne przeszedł na nowo okolice Magdeburga i zebrał już kolekcję z kilkuset sztuk wybornych narzędzi²⁾.

Chodzi tu głównie o obejrzenie — dlatego też sprowadziłem i wystawiłem wybór wszystkich przedmiotów, znalezionych przeze mnie dotychczas w Anglii, Belgji, Francji, Niemczech³⁾; jest tego około 500 sztuk,

¹⁾ Tylko niektóre kawałki kości, pochodzące z warstw międzylodowych z Eberswaldu pod Berlinem i Thiede, ujawniały ślady działania ręki ludzkiej.

²⁾ Szersze koła uczonych zapoznały się po raz pierwszy z temi północno-niemieckimi znaleziskami z okazji dyskusji nad moim odczytem w berlińs. Tow. Antropol. d. 21 marca r. 1903.

³⁾ Kolekcja wystawiona obejmowała przedmioty z następujących miejscowości i pokładów:

1) Miocen górny z Aurillac — francuskie płaskowzgórze środkowe (Puy-Courny i Puy-Boudien).

2) Pliocen średni z „Chalkplateau“ w Sussex i Kent w Anglii południowej.

3) Pliocen górny z St. Prest.

4) Pokłady dyluwjalne belgijskie z okolic Mons i z Flandrji.

5) Takież pokłady z Chelle pod Paryżem, z dolin Sommy i Tamizy.

6) Takież pokłady z Britz i Rüdersdorf pod Berlinem.

7) Takież pokłady z Taubach pod Weimarem.

8) Znaleziska z czasów późnego dyluwjum z jaskiń i warstw kulturalnych doliny Lesse w Belgji oraz doliny Wezery w Dordonji.

9) Pierwotne narzędzia neolityczne z Belgji i Anglii.

oprócz blisko 200 okazów d-ra Hahne'go z Magdeburga. Przedmioty te są wystawione przez cały czas Zjazdu. Kto ich nigdy nie widział, ten będzie miał wątpliwość, czy to są narzędzia; tego rodzaju rzeczy mogą być zrozumiane tylko zbiorowo: gdy się widzi obok siebie różne typy, widzi się, że są to w samej rzeczy narzędzia. Umożliwia to nam wykazanie obecności człowieka w najrozmaitszych okolicach, jak również wyraźne stwierdzenie, że go w danej miejscowości nie było. Tak np. poszukiwania moje w pobliżu Renu lub w Heidelbergu były bezowocne—nic znalazłem tam żadnego narzędzia paleolitycznego. Niemożliwa, aby w okresie dyluwjalnym człowiek przebywał tam przez czas dłuższy — ale znajdował się on w Niemczech północnych.

Wywody te mają również znaczenie dla zagadnienia o człowieku trzeciorzędowym. Już dawniej nadeszła z południowej Francji wiadomość, że w pobliżu Aurillac w Owernji wulkanicznej tego rodzaju narzędzia kamienne świadczą o obecności człowieka trzeciorzędowego. Aby zdobyć w tej kwestji przeświadczenie samodzielne, udałem się na miejsce i wznowiłem poszukiwania; zostały one uwieńczone powodzeniem. Wyznać muszę, że początkowo zapatrywałem się na te rzeczy bardzo sceptycznie. Wzgórki pokryte są wulkanicznymi masami wyrzutowymi z czasów pliocenu, przez doliny szedł następnie potok lodowy. W górnych piaskach miocenicznym znaleziono narzędzia, resztki konia trójkopciowego i dinotherium. Własną ręką wydobyłem¹⁾ z pokładu przedmioty, których kilka z sobą zabrałem, a wcale nieźle obrobione; są one po większej części małe, ale posiadają bardzo wyraźne szczerbki. Geolog, profesor Boule w Paryżu, którego odnalazłem w jego mieście rodzinnym Aurillac'u, powątpiewał, aby przedmioty te były narzędziami, ale warstwę, z której pochodziły, uznał za trzeciorzędową. Gdy przybyłem do Berlina, pokazywałem je, nie mówiąc, skąd pochodzą, różnym osobom, a wśród nich i Schweinfurthowi, który niedawno był wrócił z Egiptu z obfitą zdobyczą narzędzi paleolitycznych²⁾. Mniemał on, że są to z pewnością przedmioty obrobione, gdy zaś dowiedział się, że pochodzą z pokładu trzeciorzędowego, wyraził zdanie, że musiała tu zajść omyłka geologiczna. Jednakże uszkodzenia sytuacji geologicznej w danych warunkach przypuścić niepodobna.

Niedawno byłem w Anglii południowej. Jak wiadomo, bieg lodowców zatrzymał się nad Tamizą, i w Anglii południowej—w Lissax i Kent — znajduje się płaskowzgórze kredowe. Na płaskowzgórzu tym leżą piaski, zawierające w sobie narzędzia kamienne, właśnie takiego samego typu pierwotnego, jak te, które się znajdują we Francji południowej. Otóż

¹⁾ ...przy pomocy p. Piotra Martego i inżyniera Puecha. Prof. Capitan w Paryżu, który również czynił poszukiwania w Aurillac, zapowiada szczegółową pracę o trzeciorzędowych narzędziach krzemieniowych.

²⁾ Porównaj: Odczyt Schweinfurtha w berlińsk. Tow. Antropol. d 19 lipca 1902 r. („Zeitschr. f. Ethnol.“, tom XXXIV.)

mamy tu do czynienia z sytuacją, która z geologiczną ścisłością pozwala rozpoznać wiek tych znalezisk. Mamy tam, jako doliny erozyjne, datujące się dopiero od pliocenu, kanał i dolinę Tamizy, między nimi zaś tak nazwaną, podług tamecznej formacji geologicznej, dolinę Wealde. Otóż znajdujemy tu narzędzia pierwotne tylko na wzgórzach, niema zaś ich w dolinach, gdzie natomiast spotykamy inne narzędzia paleolityczne w usypiskach pokładów, odpowiadających naszym tarasom górnym i dolnym; narzędzia zaś neolityczne znajdujemy w równej mierze na wzgórzach i w dolinach. Tłumaczy się to tym, że narzędzia plioceniczne pochodzą z czasu, w którym nie było jeszcze dolin; wszystkie te doliny werznięły się w pliocen średni. Z czasu, potrzebnego na utworzenie się tych zrębów, wnosić można o ich wieku bardzo poważnym. Uznali to już geolodzy angielscy, i żałować trzeba, że z naszej strony nie uwzględniono okoliczności, iż Anglicy nie troszczyli się o nasze znaleziska. Antropologia jest nauką międzynarodową, i ożywione stosunki z uczonemi cudzoziemskimi uważam za bezwarunkowo konieczne. Również pilnym i niezbędnym wydaje mi się zapraszanie uczonych zagranicznych na nasze zjazdy, a to w celu wymiany zdań, która sprowadza ogólny postęp i uniemożliwia zacofanie, tak długotrwale, niestety, w Niemczech w porównaniu z innymi krajami.

POSZUKIWANIA.

V. Przysłowia.

Przysłowia ze wsi Białki, pow. radzyńskiego.

1. *Abraham.* Jak nie bandziem prosić Abrahama, to nam ziemia nie zrodzi sama.
2. *Baba.* Chciała baba zarobku, dała... buzi parobku.
3. Kto baby żałuje, to sobie powróż na syje ładuje.
4. *Benedykt św.* Na świętego Benedykta, dzika kacka jajko uknykta. Adl. 2. (uknyktać = znieść, uskubać).
5. *Biblioteka.* Kto czyta biblioteki, ten wart polityki. (Może się zajmować polityką).
6. *Błoto.* Jak błoto po kolana, to i kiecka zachlapana.
7. *Bogaty.* Bogata, bogata: pełna d... włosów.
8. *Brać.* Kto nie bierze na duse, to na ciele nima.
9. *Brzuch.* Poniewoli brzuch nie boli. (Znaczenie przysłowia erotyczne. Poniewoli = z musu, gwałtem.)
10. *Byk.* Cyj škik, to škik, a twój byk.
11. — Cyje byli byki, to byli, a ciele tego! Adl. 3.
12. *Chatka.* Gdzie chatka, tam pani matka.
13. *Chleb.* Chleb stali noge.

14. *Chłódować*. Kto za młodu chłóduje, ten na starość głódje. Przysłowie rolnicze, znaczy: kto nie pracuje w znoju, na skwarze za młodu, ten na starość głód cierpi.

15. *Hoży*. Zrobił się choży, jak śmierć mu grozi. (Choży = szczodry, hojny, y zmiękzone).

16. *Czytać*. Kto umie cytać, pisać i rachować, ten nie potrzebuje pracować.

17. *Djabeł*. Wybrał się, jak djabeł na kściny. (Lekko, nago.)

18. *Dzieci*. Jak działki małe, to do chatki nioso, a jak urosno, to chatkę roznioso.

19. *Głowa*. Co z rąk, to i z głowy.

20. *Głód*. Daj, głódzie, chleba.

21. *Goły*. Nie zdążyła się goła zapleść, już zrobił.

22. *Głuchy*. Posel głuchy na podsluchy, ślepy na podględy.

23. *Jagły*. Nie sięgaj bez krup do jagiel.

24. *Jeść*. Kto ję (ji) lezency, ten bandzie s... konajency.

25. *Korowaj*. Na cudzy korowaj, gemby nie rozziawiaj.

26. *Koszula*. Nie jendrusić a na koszule gnusić. (Jendrusić = andrzejkować, bawić się na św. Andrzeja. Święto Andrzeja zamyka zabawy poźniwne, rozpoczynając roboty około przedzenia lnu. Gnusić = dusić, miądlić len).

27. *Krowa*. Nie das krowom miedzy rogi, nie mas co iść miedzy nogi. Adl. 5.

28. — Nie zabije krowa cielencia a matka dzieciencia. Adl. 32.

29. *Księży*. Księżu, popie i zydoskie bierz w imie boskie.

30. *Kucharka*. Jakby kucharka z głodu umarła, to pod kominem grób-by se znalazła.

31. *Lato*. Dobry, jak lato.

32. *Las*. Przysedys z lasa, to zjadby biesa.

33. *Lelum*. Lelum, lelum, malitana. Tak mówią o ludziach do niczego.

34. *Lepiej*. Nima lepi, jak dobrze.

35. *Lubić*. Kto co lubi, kto chléb, a cygan mienso.

36. *Mikołaj św.* Na polskiego Mikołaja przybywa dnia, jak skorupka jaja.

37. Na ruskigo Mikołaja przybywa dnia, jak giensiego jaja.

38. *Noc*. Piersy nocy, to nogi i ocy. (Znaczenie przysłowia erotyczne).

39. *Obora*. Gdzie tłusto w oborze, tam się śmieje zboze.

40. *Orać*. Gdzie się nie orze, to się rodzi zboze. (Mowa o ugorze, na którym lepsze plony bywają przy trójpolowej gospodarce).

41. *Parkać*. Na to się zajonce nie parkali. (Z tego nic nie będzie).

42. *Piec*. Jak się źle upiece, to się dłuzy przewlece.

43. *Piećko*. Jak się kto włoży, to i w piekle niezgorzy. Adl. 3.

44. *Pieniądz*. Co się frasować, jak piniondze rachować: łap, cap i do kieseni.

45. *Pies*. Na, psie, chleba, — nie scekaj.
 46. *Pieśń*. Ruska pieśnia zawse długa.
 47. *Poduszka*. Kto myśli o miękie poduchy, to go złapio zle duchy.
 48. *Pokrowa*. (M. B. 1-go października). Świenta Pokrowa, dziewczka gotowa.
 49. *Pole*. Na paskudnym polu to sie chléb rodzi.
 50. *Poła*. Poły urzeż, a odstąp sie.
 51. *Popiół*. Przycepił sie, jak mokra d... popiołu.
 52. *Porządek*. Jak baba zła, to porzondek w domu ma.
 53. — Ze złého porzondku nie bandzie obrzondku.
 54. *Pracować*. Piotr, doktor i swynia nic nie pracuje.
 55. *Prokop*. Jak z Prokopom, tak bez Prokopa.
 56. *Rok*. Rok ni mokry, ni suchy, to dziewczyny na brzuchy kłado ładne fartuchy.
 57. *Ryba*. Jadałby ryby Wasil, zeby jemu kto nosił.
 58. *Siano*. Od rana do siana, po południu orać.
 59. *Skibić*. Jak skibi, to chybi. (Jeśli się za pługiem ziemia wlecze, „skibi,” to orka taka może na sapowatych gruntach chybić.)
 60. *Spać*. Kto śpi na kamieniu, ten myśli o zbawieniu.
 61. *Stroić*. Pók sie młoda ustroi, to sie stara nastoi.
 62. *Ścierń*. Jak pójdzie bydło w ściernie, to mleko w ścięgnie.
 63. *Śmierć*. Po śmierć go posłać, toby sie nazył. (O niemrawym posłańcu).
 64. *Śpiewać*. Kto śpiwa krakowiaki, to chłopak byle jaki.
 65. *Tabaka*. Jak sie tabaki w nos natłocy, to nie bolo ocy. (Tabaka miała dawniej na oczy pomagac).
 66. *Udo*. Jak sie polozy na udzie, to i samo pódzie.
 67. *Upaść*. Zeby człowiek wiedział, gdzie ma upaść, toby se pościelił.
 68. *Wilk*. Nie miał wilk cym s..., az łykami.
 69. *Wój* (l. mn. woje, dyszel u sochy). Kazdy wój ma swój strój. (Strój=porządek, uładowanie; wój=oje, dyszel u sochy).
 70. *Wół*. Bez woła bandzie d... goła.
 71. *Wrzask*. Wiancy wrzasku, jak kocięgo kochania.
 72. *Zagon*. Zobacymy, jak to na zagonkach. (O przechwałkach, których wartość poznać można we żniwa przy żęciu).
 73. *Zalęcać*. Zaliczał sie Jasiek Marynie, póki widział kluski w kominie.
 74. *Ząb*. Starem ludziom od bułek zamby wylatajo.
 75. *Zdarzać się*. Kto censto powtarza, to mu sie zdarza.
 76. *Zwiastowanie*. Na Zwiastowania przybywa bocian i kania.
 Adl. 10.
 77. *Żać*. Sam Maćko zezre, ale nie zeznie.
 78. *Żubr*. Złapali zajonca, a zubra puścili. (Gdy kto za małemi rzeczami się ugania, tracąc wielkie).

Witowt.

Chleb. Do żołędziu się wrócić a chleb porzucić. (Właśnie tak stałoby się nam, jako gdyby nam kto radził, do żołędziu się wrócić). Przyjść do ubóstwa, zdziczeć. Z mowy inspirowanej przez Łukasza Górnickiego podkanclerzemu Przerębskiemu za Zygmunta Augusta.

Do odjeżdżającej ze skarbami Bony. Dzieje w Koronie polskiej. Wydanie I-e str. 125. r. 1637. *Witout.*

VII. Pojęcia prawne ludu. Odpowiedź na kwestjonariusz Bronisława Grabowskiego (patrz „Wisła“, t. III, str. 171-209). (Ciąg dalszy. Początek p. „Wisła“, t. XVII, str. 724.)

4. Poglądy na małżeństwo.

b) *Na stosunki majątkowe.*

136. Małżonkowie żyją we wspólności majątkowej. Tylko w wypadku rozejścia się każda strona zabiera swoje mienie.

137. Opłaty przedślubnej ze strony męża niema żadnej, oprócz kosztów zaręczyn i t. z. sprawunków, t. j. podarków.

138. Posag, inaczej „wieno“ (wiano) lub zapomoga składa się: z gotowizny w ilości 100 do 1500 rubli, lub z 6 do 20 morgów gruntu, oraz z wyprawy, do której należy: 1 lub 2 krowy, pościel, obraz święty, 2 łyżki, miska, garnczek, kura, czasami nieduża świnia, bielizna i ubranie.

139. Spory o posag lub o majątek męża są częste i nieraz kończą się zerwaniem między małżonkami.

140. Mąż wtenczas tylko ma prawo rozporządzać posagiem żony, jeżeli zapisał jej część swojego majątku, lub jeżeli posag zapisany został jako wniosek do majątku męża. W innych razach posag żony uważany jest za jej wyłączną własność.

141. Przed ślubem loczą się zawsze układy o wysokość posagu i w jaki sposób ten posag ma być zabezpieczony; wyjątek stanowi służba dworska i wyrobnicy, którzy nie nie posiadają. W czasach dawniejszych układów takich nie bywało.

142. Rodzina żony wymaga zwrotu posagu tylko wtedy, gdy żona opuszcza męża i wraca do swej rodziny.

143. Spraw sądowych o roztrwonienie posagu dotychczas w tu-tejszej okolicy nie było, a to dlatego, że posagi są zwykle dobrze zabezpieczone na majątkach mężowskich.

144. W razie śmierci matki majątek staje się własnością dzieci, z prawami opieki nad nimi ze strony ojca, który otrzymuje taką część, jak każde z dzieci, dochód zaś z majątku należy do ojca. Jeżeli niema dzieci, to mąż dostaje czwartą część majątku zmarłej żony, a reszta przechodzi na jej rodzinę, w braku zaś bliższej rodziny majątek przechodzi na męża.

145. Podarki przedślubne dla narzeczonej są: ubranie ślubne, chustka, trzewiki i pierścionki; dla narzeczonego — tylko koszula do ślubu. Rodzinie nie daje się żadnych podarków.

146. Syn, żeniąc się, dostaje jako zaopatrzenie: wóz, konia z uprzężą, trochę sprzętów gospodarskich i pieniądze na najpierwsze potrzeby.

147. Mężczyzna wtenczas przyżenia się do majątku żony i osiada u jej rodziców, jeżeli oni nie mają syna, lub jeżeli syn jest jeszcze mały, oni zaś z powodu starości nie mogą pracować, gdy jednocześnie rodzice żeniącego się mają więcej synów, albo gdy on jest sierotą, który po rodzicach odziedziczył kapitał. Wchodzący do majątku żony wymaga: całkowitego utrzymania, zapisu części gruntu od jej rodziców, dając im nawzajem swój majątek, lub też rozrządza swoim majątkiem na własną korzyść.

148. Na weselu państwo młodzi zbierają składkę jako podarek na „ocepiny,“ na „cepiec;“ wynosi ona zwykle rubla od każdej pary osób. Jednocześnie weselnicy zbierają drugą składkę między sobą, również po rublu od pary, na zwrot rodzicom małżonków części kosztów weselnych. Niekiedy też zbierają między sobą po kilka groszy dla kucharki „na mydło.“

149. Dorobek obojga małżonków stanowi wyłączną ich własność.

150. Zarobek z pracy samej żony w większej części dostaje się mężowi, reszta stanowi jej własność osobistą.

151. Za wyłączną własność żony uważa się dochód z drobiu i warzywa, co nazywają „babskiem przychowkiem,“ „babskiemy rzecęny;“ tym może ona rozrządzać własnowolnie.

152 i 153. Mąż płaci długi żony, jeżeli zaciągnęła je za jego zgodą, lub jeżeli mu chodzi o „honor domu;“ w każdym innym razie nie chce słyszeć o długach żony.

154. W razie wypędzenia żony mąż nie oddaje jej mienia, chyba gdy jest do tego zmuszony.

155. Żona nie wchodzi w żadne układy bez zgody męża; mówi ona: „Mój o tem nie wi, jakże mam się rządzić? jesczeby mnie później wyprął!“

156. W każdej sprawie w sądzie żonie asystuje mąż, lub daje jej plenipotecję na piśmie, poświadczoną przez wójta. Bez asystencji męża żona staje tylko w roli świadka.

157. Układy majątkowe między małżonkami trafiają się bardzo rzadko, gdyż zwykle załatwiane są przed ślubem; najczęściej trafiają się, gdy wdowiec żeni się z wdową i każde z nich ma swoje dzieci i majątek.

158. Prawie każdy ślub bywa poprzedzany zawarciem układu majątkowego przed rejentem; dlatego mówią: „Teraz to ślub daje pirw rejent, jak ksiądz.“

159. Jeżeli jedno z małżonków umiera bezpotomnie, a pożycie ich było dobre, to przekazuje pozostałemu swój majątek testamentem.

5. Zwyczaje i poglądy, dotyczące się stosunków między rodzicami a dziećmi.

160. Rodzice, mający znaczny majątek, uważają dzieci za błogosławieństwo Boskie, mówiąc: „Mamy dzieci, ale i na dzieci“. Jeżeli mają szczupły majątek, to na wielość dzieci utyskują; przeciwnie rodziny zupełnie biedne, żyjące z wyrobku, cieszą się z dzieci jak z majątku, mówiąc: „Choć nam Pęń Bóg nie dał innego majątku, ale za to choć dzieci mamy dosyć“.

161. Niepłodność kobiety uważana jest za niebłogosławieństwo Boskie, albo za skutki przeszłego nagannego życia. Małżonkowie w tych razach szukają pomocy w modlitwie, dają na nabożeństwa, radzą się bab, znachorów i doktorów. Zdarza się, że gdy mąż robi żonie wyrzuty o niepłodność, żona w tajemnicy przed mężem stara się o dziecko na własną rękę, co najczęściej skutkuje.

162. Chłopcy są bardziej pożądani, gdyż, jak powiadają, chłopiec przynosi majątek do domu, a dla dziewczyny trzeba worek łądować. Narodziny chłopca obchodzą zwykle huczniej. Pojęcie o pierworodności jest słabe.

163. W obchodzeniu się z dziećmi ojcowie wyróżniają synów, a matki córki.

164. Dochował się jedyny obrzęd symboliczny, połączony z narodzeniem dziecka, ale już zanikający, a mianowicie: po ochrzczeniu, wnosząc dziecko do domu, kładą je na progu i biją różgą, aby było dobre, posłuszne rodzicom.

165. Ojciec nie przyznaje dziecko za swoje, gdy żona z nim nie mieszka, lub gdy podejrzewa ją o wiarołomstwo.

166. Pieszczenie dziecka uważane jest za „zwyczaj pański“, i mówią, że z dziecka pieszczonego nie może wyrość nic dobrego. Pieszczenie dziecka przy obcych uważają za rzecz nieprzystojną, zwłaszcza dla ojca.

167. Rodzice mają władzę nieograniczoną nad dziećmi do czasu dojścia ich do pełnoletności, lub dopóki „nie pojdą na swoje“.

168. O sprzedaniu lub oddaniu dziecka w zastaw nie słyszano. Zdarza się bardzo rzadko, że ojciec wygna dziecko z domu, ale wtedy już nie wtrąca się wcale do jego życia i dochodów. Jeżeli dziecko bywa najmowane do roboty, to część zarobku bierze ojciec, jeżeli zaś jest w służbie, to płaca całkowicie należy do niego.

169. Wypadków poświęcania cnoty córki dla jakichkolwiek widoków nie znamy. Niektórzy biedni rodzice, służący we dworze, gdy chodzi im o zapewnienie sobie dobrej służby i zyskanie łask, patrzą przez szpary na to, że córka ich utrzymuje stosunki z „dziedzicem“, rządcą lub ekonomem, ale wypadki takie są bardzo rzadkie.

170. Nie było wypadku podrzucenia dziecka,

171. Wypadków umyślnego porzucania dzieci nie bywa.

172. Ojcu przyznaje się prawo wyrzekania się i wydziedziczenia złego dziecka i oddania całego majątku innym dzieciom. Takie wypadki, zresztą bardzo rzadkie, dotyczą tylko synów, gdyż córki nie zwykły dawać do tego powodów. Po śmierci ojca wygnany syn zwykle unieważnia akt rejentalny drogą sądową i odzyskuje przypadającą na niego część majątku.

173. Zdarza się, że syn, rzadziej córka, porzuca dom rodzicielski, a to w przypadkach: jeżeli ojciec nie chce im wydzielić należnej części majątku; jeżeli nie mogą żyć z ojcem w zgodzie; jeżeli ojciec, przez nienawiść do którego z dzieci, udręcza je nadmierną pracą lub nie daje ubrania; gdy ojciec ożenił się ponownie, a macocha bardzo dokuca; wreszcie jeżeli ojciec przez pijaństwo traci ojcowiznę i dobytek dzieci. W tych wypadkach dzieci, nie mogąc uratować ojca i same cierpiąc nędzę, porzucają dom rodzicielski i idą w służbę. Opinia w takich razach usprawiedliwia dzieci.

174. Rodzice w opinii ogółu tracą władzę nad dziećmi w wypadkach: gdy one wstąpią w związki małżeńskie; gdy porzuciły ich skutkiem surowego obchodzenia się z niemi; gdy rodzice przepili cały majątek; gdy dziecko, wygnane z domu, utrzymuje się z własnej pracy.

175. Wpływ rodziców na żonatego syna, lub zamężną córkę, jest mniejszy, aniżeli na kawalera lub pannę. Córka wdowa bezdzietna jest traktowana jak panna; jeżeli ma dzieci i osobny majątek, to rodzice troszczą się, aby dobrze gospodarzyła i baczą na jej prowadzenie się, aby jej się co nie „przyrodziło“.

176. Ojciec zwykle więcej się zajmuje synami, a matka córkami; podziału władzy rodziców nad starszą a młodszą dziatwą niema.

177. Rodzice poczuwają się do obowiązku dobrego, pod względem fizycznym i moralnym, wychowania dzieci i ich wywianowania.

178. Rodzice najczęściej karzą dzieci cieleśnie. Dopóki są małe, biją je różgą, trokami od zapaski, pasem; starsze—kijem, częstokroć dość grubym, lub powrozem, a czasami w zapalczywości ojciec porwie się do kłonicy. Za karę też nie sprawiają dzieciom odzieży, aby chodziły obdarte, nie dają im pieniędzy, ograniczają ich wolność i przeciążają pracą. Kar niezwykłych i wyszukanych nie bywa, obcych do karania nie zwywają.

179. Jeżeli rodzice zbyt surowo obchodzą się z dziećmi, to roztropniejsze z nich niekiedy udają się ze skargą do dziadka, do stryjów, wujów, a w ostateczności do księdza; zdarza się to jednak bardzo rzadko.

180. Jeżeli w obronie dzieci stają stryjowie, wujowie, albo chrzestni, to wstawiennictwo takie niekiedy skutkuje.

181. Objawy nieposłuszeństwa, krnąbrności i zawziętości ze strony dzieci spotykamy coraz częściej.

182. W razie śmierci dzieci, rodzice żałują ich i rozpaczają po nich, szczególnie zaś matki; dzieci w razie śmierci rodziców również okazują swą żalność, choć nieraz tylko pozornie. Jedni i drudzy modlą się za swych zmarłych, dają jałmużnę a księdzu na mszę—rubla lub dwa, stosownie do żądania. Oprócz tego zamożni gospodarze co parę lat wyprawiają tak zwane „nabożeństwo,” na które spraszają rodzinę, sąsiadów i przyjaciół; za takie nabożeństwo ksiądz bierze 10 rb. Po nabożeństwie osoba, wyprawiająca je, ugaszczą u siebie uczestników.

183. Gdy dziecko dojdzie do pełnoletności, obowiązkiem rodziców jest myśleć o ożenieniu go lub wydaniu za mąż.

184. Gdy rodzice nie mogą już pracować, dzielą majątek między dzieci, a sobie wymawiają zarząd do śmierci, lub tak zwaną ordynarję („ordynaryją“). Ordynarję stanowi: co rok po parę korcy wszelkiego zboża i kilkadziesiąt korcy kartofli, jedna lub dwie krowy na utrzymaniu i oborze gospodarza, mieszkanie, opał i parę furmanek do roku na wyjazdy. Często rodzice, którzy sobie wymówili zarząd dożywotni lub „ordynarję,” nie korzystają z tego, lecz zadowalają się utrzymaniem, jakie im dziecko daje. Nie znam zdarzenia, aby dzieci wyгнаły rodziców z domu, ale zdarza się, że rodziny biedne wysyłają ojca lub matkę na żebranie, czego nikt za złe nie uważa.

185. O wypadku zabicia ojca lub matki nie słysząc tutaj, ale złe obchodzenie się zdarza się, chociaż rzadko.

186. Jeżeli dzieci odmawiają wymówionego utrzymania, to rodzice procesują się z niemi i odzyskują prawa swe sądownie.

187. Błogosławieństwo lub przekleństwo rodziców ma znaczenie i moc wielką. Legiend i podań, na tym tle osnutych, niema.

188. W razie podziału majątku między dzieci rodzice zamieszkują przy dziecku, które zostaje w „ojczyźnie“; jeżeli zostaje ich dwoje, to rodzice zwykle zamieszkują przy synu, jeżeli córki lub synowie, to przy starszym z dzieci, lub przy tym, które jest dla nich lepsze. Bywa też, że matka mieszka przy córce, a ojciec przy synu, lub każdy z nich przy tym z dzieci, do którego ma więcej przywiązania.

189. Formy pożycia starców na dożywociu są: 1) pozostawienie sobie kilku morgów, które obsiewać i plon z nich sprzątać zobowiązuje się jedno z dzieci, lub dwoje, pod zarządem ojca lub matki; 2) „ordynarja,” opisana wyżej pod liczbą 184, do czego dodać należy, że rodzice wymawiają sobie kilka lub kilkanaście furmanek do roku.

190. Przenoszenie się dożywotników od jednego z dzieci do drugiego zdarza się rzadko.

191. Stosunki między ojczymem, macochą i pasierbami zwykle bywają złe i kończą się oddaniem należącego tamtym działu i wyrzuceniem ich z ojcowizny. Ojczym lub macocha nienawidzą pasierbów i radziły się obłowić z ich majątku jak najwięcej.

192. Wypędzenie pasierbów przez ojczyma lub macochę zdarza się rzadko; lud patrzy na wypędzających jak na złodziei, chcących okraść majątek sierocy. Bywa, że rodzina pasierbów nie pozwala na takie wybryki. Wygnanie ojczyma lub macochy przez pasierbów lud uważa za słusniejsze, o ile które z nich nie wniosło swojej własności do majątku pasierbów; w tym wypadku pasierbowie są obowiązani zwrócić wniosek.

193. Dzieci nieprawe są uważane za niższe pod każdym względem od prawych; z tego powodu wyrzucają one nieraz rodzicom (matce) swe nieprawe urodzenie. Dziecko nieprawe wychowuje matka lub jej rodzice, albo bliższa rodzina matki.

194. Ojczym lub macocha nie robią różnicy między dziećmi prawymi a nieprawymi, z jednemi i drugiemu obchodzą się źle.

195. Dochodzenie ojcostwa zdarza się rzadko i nigdy się nie udaje.

196. Dzieci mogą mieć własność oddzielną od rodziców, pochodzącą albo z posagu po ożenieniu się, albo z darowizny lub własnego dorobku.

197. Zarobek z pracy dzieci należy w części do rodziców, szczególnie zaś do ojca.

198. Mienie, zastawione przez ojca, a wykupione przez które z dzieci, może być zwrócone ojcu za zwrotem wykupu. Układy takie bywają rzadko.

199. Rodzice, lub jedno z nich, mogą zabrać dziecku własność, pochodzącą z zapisu osoby trzeciej, lub z niej korzystać, jedynie za zgodą dziecka.

200. Ojciec nie ma prawa oddać, ani sprzedać lub zastawić mienia dzieci, choćby w najmniejszej części.

201. Rodzicami, którzy roztrwonią majątek, lud pogardza.

202. Ojciec lub matka mogą za życia wydzielić część swego majątku jednemu z dzieci; nazywa się to „odpisaniem majątku.“

203. Bardzo rzadko zdarza się, że ojciec odpisuje majątek jednemu lub kilku dzieciom z krzywdą innych. Dzieci pokrzywdzone dochodzą po śmierci ojca, drogą prawną, należnego im majątku.

204. Ojciec może odebrać dziecku wydzieloną część majątku tylko wtedy, gdy zapis był zrobiony „darowizną,“ a dziecko obdarowane okazało się niewdzięcznym.

205. Za szkody, wyrządzone przez dzieci w służbie lub robocie, nie rodzice odpowiadają, lecz same dzieci.

206. Ojciec nie poczuwa się do obowiązku płacenia długów, lub szkód, wyrządzonych przez dzieci, nieoddzielone od niego. Wypadek z tego stanowią ojcowie, bardzo kochający swe dzieci i dbający o dobrą ich i swoją sławę.

207. Między rodzicami a dziećmi pożyczki pieniężne praktykują się często.

208. Czasami ojciec dzieli majątek za życia. Jeżeli majątek jest po matce nieżyjącej, to dzieci po dojściu do pełnoletności dokonywają działu same. Grunty nie mogą być dzielone prawnie na działły mniejsze, niż 6 morgów. Sprzęty bierze to z dzieci, które wzięło grunt, z warunkiem, że pozostałym spłaci sumę umówioną lub oszacowaną. Pieniądże ojciec zwykle dzieli przed śmiercią, przyczem niekiedy część przeznaczają na kościół.

209. Czasami ojciec zostawia sobie część majątku (zwykle 3 do 6-ciu morgów, stosownie do wielkości majątku) na dożywocie; niekiedy jednemu z dzieci, zwykle starszemu, oddaje większą część majątku pod warunkiem utrzymywania rodziców do śmierci, ale gdy ojciec umrze, inne dzieci starają się taki podział unieważnić.

210. Odstępienia („odpisy“) majątkowe dokonywane są przed rejentem, dawniej zaś czyniono je prywatnie. Działy po śmierci rodziców przeprowadzane są sądownie. (D. c. n.)

X. *Nazwy topograficzne* (Wis. XIV. s. 197).

W starej księdze radzieckiej miasteczka Iwanowic, w dawnym województwie i powiecie Kaliskim, znajdujemy w XVIII wieku następujące nazwy placów ulic, pól etc: plac Rynek; ulice: Kościelna, Niemiecka, Żydowska (obok stawu), Kaliska, Sukiennicka, Altarska, Kozmińska. Pustkowie, zw. Skrobanie, Kurzy bród, Świerk, pastwisko Krzywda.

M. R. Witanowski.

Józef Nakonieczny,
chłop rolnik z Garbowa Miesiąców.

Sprawozdania i Krytyka.

1086. *Baruch Maksymiljan. Pabianice, Rzgów i wieś okoliczne.* Monografia historyczna dawnych dóbr kapituły Krakowskiej w Sieradzkim i Łęczyckim. Warszawa, 1903. 8-ka, stron. X+362.

Badanie naukowe kraju naszego, rozpoczęte tak świetnie przez pomnikowe wydawnictwo „Słownika geograficznego“, pogłębia się coraz bardziej w przedsięwziętych lub dokonanych opracowaniach pojedynczych miast i osad, a nawet oddzielnych wiosek. Rozległe to i wdzięczne pole nie tylko dla zawodowych mężów nauki, lecz i dla tych, coraz liczniejszych członków inteligencji naszej, którzy zamieszkując w ustronnych nieraz zakątkach, znajdują upodobanie w odtwarzaniu przeszłości oraz obecnego stanu kraju. W wielu razach praca to dyletancka, niemniej przeto wartościowa, bo wydobywa z pyłu zapomnienia niejedno zdarzenie historyczne pierwszorzędnej wartości, dają charakterystykę mieszkańców rozmaitych stron naszej ojczyzny i t. p. Gdy przeto zadania takiego podejmuje się człowiek, wyposażony w naukę, nie z rozkazu lub dla korzyści, lecz z zamiłowania

przedmiotu — plon zadań musi okazać się tym bogatszym, dorobek dla wiedzy krajoznawczej tym cenniejszym. Do takich rezultatów wartościowych doszedł swą mrówczą pracą p. Maksymiljan Baruch, którego dzieło najnowsze obejmuje, jak widać z tytułu, nie tylko same Pabianice, lecz, co ważniejsza, całe dawne opole Chropskie, nadane kapitulę Krakowskiej jeszcze przez Władysława Hermana.

Autor pracę swą rozpoczyna od wskazania, jakie to było pierwotne, przedhistoryczne osadnictwo na porzeczach Neru i Wolborki. „Tam, gdzie zbudowało się m. Pabianice, — pisze on — istniała niewątpliwie osada pogańska. O jej mieszkańcach wiemy tylko, w którym miejscu chowali swych zmarłych, a w którym modły swe odprawiali: o pierwszym świadczy cmentarzysko na t. zw. *Górcie* pod miastem, o drugim nazwa ulicy *Bugaj* nad brzegiem Dobrzyńki; tu więc był gaj święty, w którym składano ofiary bożyszczom“. Tłumaczenie takie nazwy „Bugaj“ — miejscowości rzeczywiście leżące zazwyczaj nad wodami, nie wytrzymuje krytyki naukowej. Według najnowszego „Słownika języka polskiego“ nazwa ta pochodzi od turańskiego „buga“ — byk, więc „bugaje“ mogą oznaczać pastwiska nadrzeczne. Inne miejscowości, wymienione przez autora na str. 18, czy to w brzmieniu nazwy swojej, czy też ze względu na wydobywane tu szczątki, zaliczone być mogą do przastarych osad pogańskich.

Cały ten obszar, zwany w czasach piastowskich „opolem Chropskim“ — od położenia topograficznego, stanowiącego zarośle i lasy o gruncie podmokłym, sapowatym („chrapy“ a „chropy“) — był pierwotnie własnością książęcą. Jako kasztelanja tegoż nazwiska, stawszy się posiadłością kapituły katedralnej krakowskiej w XI wieku, pod zmienionym mianem kasztelanji, klucza lub hrabsłwa Pabianickiego, przetrwała w jej posiadaniu aż do ostatnich chwil istnienia Rzeczypospolitej. Obszar tych dóbr zawierał około 10 mil kwadratów, i podług dzisiejszych wykazów statystycznych, na ziemi tej były dwa miasta i sto kilkanaście wsi, kolonji i osad.

Autor dzieło swe podzielił na kilka części: z tych pierwsza, obejmująca historję włości Pabianickiej do wieku XIX, zaznajamia nas z zarządem majątku, ludnością, stosunkami kościelnymi i ekonomicznymi. W części drugiej znajdujemy opis poszczególnych miejscowości, w części zaś trzeciej są przedstawione dzieje przejścia dóbr po-kapitulnych od skarbu do rąk prywatnych, z dodaniem tablic statystycznych obecnego stanu tych włości.

Każda z wymienionych części, choć opracowana głównie pod względem historycznym, dorzuca nieco szczegółów, obchodzących i etnografję. Zwłaszcza część środkowa, poświęcona opisowi miejscowości po-kapitulnych, podaje ciekawe wzmianki o powstaniu nazw, podania, przywiązane do niektórych miejscowości i zwyczaje dziewięciokrotnego dzwonienia i sobótek w Pabianicach (str. 155, 184, 185, 205, 229). Nazwisko folwarku „Młodzieniaszek“ (o ćwierć mili od Pabianic), stanowiącego uposażenie szpitala Pabianickiego, w połącze-

niu z wieścią o darowaniu Chropów przez Judytę, dało podstawę do utworzenia legiendy, iż po urodzeniu Bolesława Krzywoustego księżna ta fundowała pod miastem schronienie dla starców i sierot, a na pamiątkę urodzenia syna nazwała przytułek Młodzieniaszkiem (str. 272). Dla archeologii ciekawym jest wyciąg archiwalny, dotyczący rozgraniczenia między Wolą Rakowską a Wiączyńnem z początku XVI wieku. Granicę miał oznaczać wielkich rozmiarów kamień z wykutą nogą w strzemieniu. Starosta wiączyński dla zatarcia granicy miał usunąć ten głaz, który wywieziono w 16 wołów i wrzucono do sąsiedniego bagna (str. 288). W Dodatkach do tej monografii umieścił autor dwa większe opracowania, dotyczące dziejów Pabianic. Pierwsze z nich, lubo bardzo interesujące („O pochodzeniu Mikołaja Kopernika z Łaskowic pod Pabianicami“), ale jako nie dotyczące nawet pośrednio etnografii, pomijam. Drugi artykuł—to przedruk z „Ateneum“ 1897 r.—dawniejszej pracy p. t. „Kasa pożyczkowa dla włościan dóbr Pabianickich, zw. *Mons pietatis* (1715 — 1796)“. Ciekawy ten przyczynek do dziejów stanu ekonomicznego włościan naszych autor zamyka uwagą, iż była ona „jedyną może u nas instytucją kredytową dla włościan w czasach przedrozbiorowych“. Otóż podobnych „górz zbożnych“—jak je nazywa Frycz Modrzewski—było w kraju więcej. Pominąwszy Kraków, Warszawę i Wilno, oraz wiele innych większych miast w Rzeczypospolitej, gdzie takie „montes pietatis“ powstały już w XVI wieku—podobny zupełnie bank pobożny, jak w Pabianicach, bo ze szczególniejszym uwzględnieniem potrzeb włościaństwa kluczów Kieleckiego i Bodzęcińskiego—dla „dotkniętych przez powietrze na bydło“ założył w Kielcach 1747 r. Andrzej Załuski, biskup krakowski, przeznaczając na ten cel z funduszków własnych 16000 złp.

Dzieło o dobrach kapitulnych, opracowane przez p. Barucha z takim pjetyzmem, na podstawie żmudnych poszukiwań archiwalnych i prac ogłoszonych drukiem, kończy wybornie ułożony indeks osób (do końca XVIII wieku) oraz przedmiotów. Ozdabiają tę pracę trzy mapki (archeologiczna, wizyty Długosza z XV wieku, oraz miejscowości w granicach majątności Pabianickich), siedem fototypji i kilkanaście rysunków w tekście.

M. R. Witanowski.

1087. Hadaczek Karol. Światowid, szkic archeologiczny, napisał... WKrakowie, nakładem Akademji Umiejętności. 1903. (Osobne odbicie z materiałów Kom. Antropol.-Archeol. Akad. Umiej. w Krakowie.) Tom VI, dz. I. 8-ka w., str. 8).

Celem tej rozprawki jest wykazanie, że znaleziony w Zbruczu posąg Światowida jest zabytkiem autentycznym zamierzchłej doby słowiańskiej. Na poparcie tego mniemania autor przytacza: 1) że utworzona na powierzchni posągu osobliwa powłoka dowodzi, iż leżał on przez czas długi w wodzie; 2) że technika rzeźbiarska zabytku wykazuje liczne analogie z techniką rzeźby archaicznej greckiej; 3) że

kształt rzeźby przedstawia wielkie podobieństwo do kształtu herm greckich; 4) że z powyższych analogji wynika, iż celem dzieła jest uwydatnienie postaci górnej, podczas gdy rzeźby niższe mają tylko znaczenie dodatków. Ta postać główna przypomina czczone w Grecji i Azji Mniejszej rzeźby herosów. Postaci dodatkowe są również kształtowane na wzorach greckich, co się uwidocznia zarówno w ich robocie, jak w symbolach, które mają w rękach lub przy sobie.

Ze względu na pewną wyższość techniki rzeźbiarskiej Światowida nad techniką przypuszczalnie społecznych mu rzeźb słowiańskich, autor mniema, że ten zabytek pochodzi z okolic południowych. Za prawdopodobny czas jego powstania uważa okres pogański cesarstwa Rzymskiego.

Rozprawę kończy zestawienie porównawcze „Światowida” z analogicznymi wytworami rzeźby słowiańskiej.

1088. Hadaczek Karl. *Der Ohrschmuck der Griechen und Etrusken.* „Abhandlungen des archäol. epigraph. Seminars der Universität Wien“.

Ze 154-ma rysunkami. Zeszyt XIV, r. 1903.

Ta pod względem ścisłości i sumienności wzorowa monografia dzieli się na dwie części: w pierwszej autor bada ozdoby uszne okresów trojańskiego i micońskiego, starogreckiego i klasycznego, w drugiej—ozdoby narodowo-etruskie oraz powstałe na gruncie etruskim pod wpływami greckimi. Część pracy, poświęcona zabytkom o formach, artystycznie wyżej rozwiniętych, jest, oczywiście, obszerniejsza, typy zaś pierwotne są traktowane pobieżniej. W ozdobach usznych okresu trojańskiego upatruje autor, mimo wielkiej odległości w czasie, uderzające podobieństwo z ozdobami na jednej z płaskorzeźb, wyobrażających Ramzesa II.

1089. Witold Schreiber. „*Twórcy bogów*“. Z tajemnic wierzeń ludów pierwotnych. Z 78 ilustracjami w tekście. We Lwowie, nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 1904. Str.

358. Cena 6 koron.

Naczołek dzieła każe się domyślać, że książka to ogromnie uczona, sucha, może i nudna. Ale zamiarem autora wcale nie była „naukowa dysputa”, on pragnął tylko uprzystępnąć szerokim kołom „jeden z najciekawszych tematów wiedzy”, czyli, własnymi słowy powiedzieć, pragnął czytelnikom polskim przedstawić zapatrywania uczonych europejskich na różne objawy religijności i religijne ideały u ludów pierwotnych. Rzecz oparta jest na materiałach, zebranych przez takich ludoznawców, jak Federowski (Lud białoruski), Tylor, Schadenberg, Frobenius, Sieroszewski i t. d., i na dziełach etnograficznych, jak Crobela (*Entwicklung der Religionsbegriffe*), Frobeniusa (*Weltanschauung der Naturvolker*) i t. p. Autor dał wykaz ważniejszych dzieł pomocniczych, szkoda jednak że nie wskazał tych, i z których czerpie nie przykłady, nie materiał, lecz wyniki naukowe, sądy i twier-

dzenia. Poznajmy więc to, co jest w dziele p. Schreibera najważniejszego.

Zródłem wszystkich wierzeń jest człowiek i otaczająca go przyroda. Najbliżej człowieka stoi zwierzę, i ono najpierw zajmuje umysł jego. Na najniższym stopniu rozwoju osobnik ludzki uniża się przed zwierzęciem, na drugim uważa je za równe sobie, aż wreszcie spycha je poniżej swej wyżyny, odmawia mu rozumu i duszy. Człowiek pierwotny jest istotą czysto zmysłową, jego świat pojęć jest zmysłowy, przyczyny od skutku nie odróżnia, myśli niezmiennie mało. Skutkiem tego, że pierwotne ludy zjawisko jakiegoś łączą z rzeczą przypadkową zupełnie, nie zaś z jego właściwą przyczyną, wyrastają bóstwa fetysze, przedmioty działające, choć moc działania człowiek sam w nie wmawia, a następnie i siebie gwałtem w tej wierze utwierdza. To pierwsi bogowie, a ich twórcami ludzie sami, ludzie na stopniu rozwoju najniższym. Przeżytki fetyszownictwa znajdują się wśród narodów ucywilizowanych (np. cześć dla podkowy znalezionej).

Gdzie między fetyszami (przedmiotami czczonemi) znajdziemy postaci ludzkie, tam natrafiamy na wyższy stopień fetyszyzmu, tam wiara już zabarwiona pierwiastkami czci przodków. U nas kwitnie jeszcze fetyszyzm pozorny, gdy chłop się modli do obrazu, nie do istoty, którą ten obraz przedstawia.

Długie ustępy poświęcone są pojęciom duszy, jakie one i u jakich są ludów. Kulturalnie najniższe ludy uważają za duszę puls, wyższe — serce, inne — krew (słowa Mojżesza i Arystotelesa: krew jest duszą), wreszcie dech i cień. Ten porządek wyobrażeń przedstawia Schultze, i autor nasz od niego go przyjmuje. Bardziej rozwinięta myśl ludzka widzi już w jednym ciele kilka dusz (nawet 7), a każda pojmowana początkowo jako materja. U jednego ludu znajdzie się robak-dusza, u drugiego dusza ma postać jaszczurki lub ptaka. Dusza przybiera w późniejszych pojęciach barwę coraz mniej materjalną. Różnym też sposobem można ducha umierającego przenieść w ciało żywe (wchłanianie ostatniego oddechu konającego). Zwolna tworzy się wiara w życie pośmiertne i cześć dla przodków. W wierzeniach najprimitywniejszych jest życie przyszłe odbiciem ziemskiego całego lub też dalszym, nieprzerwanym ciągiem stanu tego, w jakim człowiek umiera. To też dusza w stanie niezmiennym (od chwili śmierci) żyje po zgonie człowieka. Autor nasz przyjmuje z zupełną prawie stanowczością, że nieznana kraina dusz pierwotnych jest miejscem nagrody lub kary i że w życiu pozagrobowym doniosłą rolę odgrywa pierwiastek społeczny: im wyższą kto godność na ziemi piastował, tem znamienitsze zadanie spełniać będzie w krainie szczęśliwości, w krainie wyidealizowanych stosunków ziemskich. Resztki dawnych wierzeń utrzymały się obok dogmatu chrześcijańskiego w odróżnianiu przez lud nasz rażu od nieba.

Dusze mają różnych przewodników do krainy zagrobowej. Jest nim najczęściej ptak, jego też postać często jest na „okrętach umar-

łych". Obok ptaka zjawiają się pies i świnia. A dostęp do tej krainy? Tym łatwiejszy, im niższy poziom kultury plemienia. Gdy kraina dusz nabierze charakteru ogólniejszego, wtedy wierzenia są zaczątkiem wyobrażeń o nagrodzie i karze za uczynki ziemskie, podobnie jak u nas, jeno pamiętać należy, że pojęcie cnoty inne są nasze, a inne u pierwotniaków. To też wyobrażeń o piekle smolnym i żującym ogniem pierwotne ludy nie znają. Umysł ludzki tym subtelniej określa krainę dusz i jej zakątki, im dokładniej rozróżnia odcienie dobrego i złego. (Takie stopniowanie kar i nagród mamy u Dantego.)

Inny rozdział—to przegląd obrzędów pogrzebowych. Pogrzeb najpierwotniejszy żyje jeszcze w Afryce, między zjadaczami trupów krewnych. Postępem jest już porzucenie trupa na żer zwierzętom. Zwyczaj puszczenia zwłok z trumną (łodzią) na wodę jest czasem w związku z ideą, że krainą dusz jest wyspa morska, czasem zaś wynika z prostej chęci pozbycia się umarłego, by jego mienie spokojnie zagarnąć. Ta sama żądza cudzego majątku pchnęła człowieka do zupełnego niszczenia trupa, do spalenia go. Zwyczaj palenia nieboszczyków jest zdrowotnie najlepszy, dla nauki jednak jest szkodliwy. Obok stosów palnych równorzędnie istnieją grobowe, i oba sposoby pogrzebów równocześnie u tego samego ludu często spotkać można. Od warunków zaś geograficznych zależy, czy grób znajduje się w ziemi, czy nad ziemią. Cieszy się powszechnością i zwyczaj suszenia trupów. (Tu mógł autor dodać o mumjach suszonych w klasztorze kapucyńskim w Neapolu, gdzie katakumby klasztorne zapełniono nimi aż do niedawnych bardzo lat, może 20 lat temu dopiero, gdy zakazano tego rodzaju pogrzebów.)

Pogrzeb nie odbywa się zaraz po zgonie. Im podróż pogrzebowa dłuższa i uciążliwsza, tym później się pogrzeb odbywa, zwłoka trwa nawet 1000 dni. Głębszym jednak powodem jest stan majątkowy rodziny, czy można rychlej czy później sprawić pogrzeb nieboszczykowi. Dzisiejszy zwyczaj prowadzenia konia za trumną wojownika jest przeżytkiem czasów, kiedy zabijano zwierzęta na mogiłach ich panów. Tak samo, jak zwierzęta, palono pierwotnie i żony nieboszczyków. Wogóle zona ma rolę bardzo podrzędną u pierwotniaków, że nawet osobne studjum jej doli poświęcił Ploss („Das Weib in der Natur u. Völkerkunde“).

Obawa zemsty nieboszczyka wywołała cześć dla niego, cześć ta okazała się w budowaniu cmentarzy oddzielnych, potem wspólnych. Rozwinął się też i kult przodków, a źródło jego leży w naturze pierwotnego człowieka, który wszystko ocenia z punktu animistycznego. Wyłaniają się w wierzeniach półbogi i bóstwa, gdy z półbogiem wyobrażnią skojarzy losy ciał niebieskich. Ludzie bohaterzy przemieniają się w bóstwa. Barwę kultu zmarłych ma wiara w życie bóstw drzewnych, czyli mieszkających w drzewach. Kult przodków objawia się nieraz w zwyczajach wprost zwyrodniałych: zabijania innople-

mieńców, zbierania czaszek ludzkich i t. p. A przecież cześć dla zmarłych podniosła ludzkość pierwotną moralnie i wpływ miała na sztukę.

Z ciał niebieskich czczono najpierw księżyc i zrazu uważano go za osobę męską. Później dopiero zapanował kult słońca, odbijający się jeszcze w pieśniach ludu naszego. Pomieszenie idei manistycznych i słonecznych uważa nasz badacz za następstwo przeznaczania tarczy słonecznej za mieszkanie dusz zmarłych. Zachód słoneczny wskazuje krainę śmierci, państwo dusz, wschód zaś jest bóstw przybytkiem; do wschodu się zwracają ludy z modlitwą, ku zachodowi obracają głowę nieboszczyka.

Najpóźniej zajął się umysł ludzki niebem. Uważał je za skalę, tkaninę, podłogę, wreszcie za mężczyznę, którego małżonką jest ziemia. Stosunek obojga jest przedstawieniem poetycznym nocy. Niebo nocne we wszystkich mitach jest mężczyzną i ojcem, ono początkiem wszech rzeczy. Wyższy stopień ma oznaczać cześć nieba dziennego jako mężczyzny, a nocnego jako kobiety. Na najwyższym stopniu rozwoju nieba oba się utożsamiają, uważane ono już za niewiaستą matkę boga-słońca. Z wiekami dochodzi człowiek od fetyszystycznej czci przedmiotów do bóstw niższych i wyższych, zależnie od ich materji, tworzy sobie w wyobraźni wreszcie boga-nieba, który zmienia się ostatecznie w najwyższego boga w niebie.

Tosą najważniejsze wyniki studjum p. Schreibera, wysnute z materiałów obcych, powtórzone przeważnie za innemi jak Schultze, Lubbock, Spencer, Wilkens lub Tylor. Przedstawienie rzeczy jest bardzo jasne, każdy wynik poparty wielką ilością przykładów z wierzeń i życia różnych ludów, dowodów tych nieraz może za wiele, ale są one za to barwą książki bardzo ożywiającą, która sprawia, że „Twórców bogów“ czyta się lekko jakby powieść jaką. Bardzo jasno i zrozumiale w kilku miejscach przedstawiono prawo odwrócenia (np. str. 136), grające tak ważną rolę w rozwoju pojęć religijnych i wierzeń. Skąd się wzięły upiory, kiedy człowieka dręczą zmary—również czytelnikowi autor gładko wyjaśnia. A już ze szczegółową dokładnością przedstawił rozwój fetysyzmu i jego powstanie.

Jednej tylko rzeczy żałujemy, a to, że autor nie czerpał z własnych badań (osobiste jego wspomnienia ogromnie są nieliczne), ale oparł się na obcych, a czy zapiski spostrzegaczy niemieckich są zawsze prawdziwe—wątpię. Ile to kłamliwych opowiadań i pojęć fałszywych o nas przeniosło się do umysłów niemieckich przez słowo drukowane! Nie było też dla nas rzeczą łatwą rozejrzeć się w pracy p. Schreibera. Myśli, do jednej rzeczy się odnoszące, rozrzucone po całym dziele, układu prawie żadnego (chaos czy modernizm?), że podać treść książki jest rzeczą wcale przytudną. W każdym jednak razie dla męża, co z oceanu materiałów wydobywa zdobycz wiedzy i rzuca je na stół przed szerokie koła czytelników rodaków, rzuca je w szan-

cie zdobnej i za cenę niewygórowaną bynajmniej, uznanie jest zasłużone. Pragniemy widzieć—oby jak najrychlej—owoc pracy naszego ludoznawcy nad materiałem swojskim, polskim, a nie schlebiamy ani sobie, ani jemu, twierdząc, że owoc to będzie pełny i czerstwy.

Jan Majera.

1090. Wachowski Kazimierz. Słowiańszczyzna Zachodnia. Studja historyczne. Tom I. (Wydanie z zapomogi Kasy pomocy dla osób, prac. na polu naukowym, imienia d-ra Józefa Mianowskiego). Warszawa, 1904, 8-ka, str. 271.

O książce, której tytuł tu wypisano, miałem sposobność wspomnieć w niemieckim przekładzie mojego Wstępu do Historji Słowian, wydany w roku bieżącym w Jenie p. t. „Einführung in die Geschichte der Slaven“ (str. 114). Już tam zaliczyłem autora do szkoły berlińsko-austriackiej, która, jak wiadomo (czytaj wyżej wspomniany „Einführung“, str. 48 i n.), nic nie chce wiedzieć o autochtonizmie Słowian, zaczynając ich historję w Europie Środkowej, a mianowicie po obu stronach Dunaju, nad Adriatykiem, w Czechach i t. d., dopiero w VI w. po Chr., w czasie, w którym zjawili się Awarowie w tych stronach. Że tak jest, dosyć przejrzeć tu i owdzie książkę p. Wachowskiego. I tak, na str. 25 czytamy, że od III w. po Chr. poczynając, Giermanowie (a tak tylko p. Wachowski nazywa Niemców, zapominając, że „Giermanja“ jest pojęciem geograficznym, nie zaś etnograficznym), opuszczają kraje między Łabą i Wisłą, ustępując je przybywającym w VI w. od wschodu Słowianom, którzy na tej przestrzeni słowianizują resztki „Giermanów“ (str. 95),—ale o tym wszystkim nic a nic źródła nie wiedzą. O Czechach znowu (str. 48) dowiadujemy się—o czym także źródła nic nie wiedzą—że Słowianie przybyli do swojej dzisiejszej ojczyzny na krótko przed 568 r., w którym już mogli znajdować się, zdaniem autora, przed panowaniem Awarów. W Karantanji, czyli starożytnym Noryku, Słowianie osiedlają się—jak również błędnie twierdzi p. Wachowski—„masami“ pod koniec VI w. (str. 23). Mniema on, że napad Tassilona na Słowian 595 r. był tylko odwetem ze strony Bawarów za napady Słowian i ich rabunki (str. 23), co wcale nie zgadza się z prawdą, ponieważ Tassilo uczynił napad nie odwetowy, lecz zaczepny na spokojną ludność słowiańską, od wieków w tych stronach osiadłą, ludność, którą za czasów rzymskich, tj. za panowania w tych stronach Rzymian, zwano Norykami¹⁾. W Iliryku, podług również fałszywego mniemania p. Wachowskiego, Słowianie także osiedlali się „masami“ po 548 r., przyczem jakoby ludność dawniejszą „wycinano w pień“.

¹⁾ Że tak było, może się autor przekonać w mojej „Hist. Słow.“ (II, czytaj w skorowidzu pod wyrazem: Norykowie).

Jak widzimy, wszystkie te wiadomości, przytoczone wyżej, a podane przez autora, są całkiem fałszywe, w żadnym źródle nie zapisane. Prawdą jest tylko, że Słowianie napadali przez Dunaj na półwysep Bałkański, lecz, że w Iliryku, ile razy do niego wpadli, tyle razy z niego powrócili do siebie. Na inne kraje półwyspu, mianowicie na Mezję i Trację, napadali często, ale tam mieszały się z dawniejszą, jednoplemienną ludnością¹⁾. W związku z temi napadami znajdującą się podług autora, Chorwaci, o których p. Wachowski wie tylko tyle, ile o nich wiedzieli Jagić i Oblak, których „krytycyzm“, jak twierdzi autor, usunął na bok podanie Konstantyna Porfirogenity (str. 54), lecz wistocie, jak to wykazywałem, mniemany ów krytycyzm Jagića i Oblaka zapożyczył się od Dümmlera, którego twierdzenie o tyle tylko zmodyfikowali Jagić i Oblak, że idąc za Raczkim, Drinowem i innemi, nie przyjęli jego nauki o przypędzeniu Słowian do Dalmacji przez Awarów. Rezultaty moich poszukiwań, w których najgłówniejszym faktem, obalającym całkiem dotychczasowe poglądy, jest dowiedzione pomieszenie Herkulusza z III w. z Herakluszem z VII²⁾, całkiem p. Wachowski ignoruje.

Gdy już jesteśmy na półwyspie Bałkańskim, zapytam autora, skąd wziął wiadomość o jakichś Antach w Mezji, którzy cesarzowi Maurycemu pomagać mieli w wojnie jego ze Słowianami po lewej stronie Dunaju (str. 12)? bo źródła o Antach w Mezji nic nie wiedzą. Jak wiadomo, na półwyspie Bałkańskim Słowianie o własnych siłach nie utworzyli żadnego państwa. Wyjątek stanowi Iliryk, gdzie, jak mniema p. Wachowski (str. 55), „według trafnego spostrzeżenia Oblaka“, wśród walki plemion słowiańskich z Awarami, o czym ze źródeł nic nie wiemy, zjawiają się początki narodu i państwa chorwackiego (str. 55). Nie sobie też, lecz Samonowi zawdzięczali oni państwo, zwane państwem Samona. Państwo to nazywa p. Wachowski „zagadkowym“ (str. 47), chociaż w historii początków tego państwa niepewne jest tylko pochodzenie jego twórcy. Co do tego pochodzenia, p. Wachowski, opierając się na słowach Fredegara: „natione Francus“, stanowczo twierdzi, że Samo był mężem niesłowiańskiego pochodzenia (str. 62), cudzoziemcem (str. 51), chociaż Anonymus Salisburgensis wyraźnie zowie go Słowianinem. Wiadomo, że memoriał tego Anonima, zwany „*Conversio Bagouriorum et Carantanorum*“, pisany w 871 r., musiał być ułożony na podstawie jakichś wcześniejszych źródeł, tak, że autor jego mógł być dobrze poinformowany i wie-

¹⁾ Starałem się to wykazać w „Hist. Słow.“, a daleko szczegółowiej w „Einführung in die Geschichte der Slaven“ (str. 75 i n.).

²⁾ Rzecz ta została wyłożona w „Hist. Słow.“ (II, 71—78), a streszczona z pewnemi ważnemi dodatkami w niemieckim przekładzie mojej pracy p. n. „Methode und Hilfsmittel der Erforschung der vorhistorischen Zeit in der Vergangenheit der Slaven.“ (Berlin, 1902, str. 77—80).

dział, co pisał. Wiadomo zresztą,—a na to zgodziło się już wielu badaczy—że wyrażenie Fredegara: „*natione Francus*“ nie znaczy wcale, że Samo miał być bezwarunkowo pochodzenia frankońskiego, mógł on tylko pochodzić z terytorjum, należącego do Franków (por. „Hist. Słow.“, II, 247). Miejsce pochodzenia Samona, Senonago, widzi p. Wachowski w Austrazji (str. 48), a mianowicie w dawnych Niderlandach, dziś na granicy Belgji i Francji, w krainie, zwanej Hennegau, w Soignies (str. 85), chociaż jest to domysł daleko mniej trafny, niż inne przypuszczenia (por. „Hist. Słow.“, II, 248). W ten sposób niejasnym może być jedynie pochodzenie Samona, bezwarunkowo jednak słowiańskie, i sposób, w jaki doszedł do władzy wodza, a potem władcy, lecz nie samego państwa. Nie zagadkową też jest przynależność do tego państwa Karantanji, jak świadczy o tym Anonymus (por. „Hist. Słow.“, 248), chociaż p. Wachowski nie stanowczego nam o tym powiedzieć nie chce (str. 53). Tutaj zwrócę uwagę autora, że błędnie szuka on księstwa Walducha I w Krainie, gdyż znajdowało się ono w Karyntji, i że również błędnie zowie je „jądrem“ księstwa Chorużańskiego (str. 53), gdy tego jądra szukać należy w daleko głębszej starożytności ¹⁾. Wojnę o niepodległość Samona z Frankami i Alamanami, a w Karantanji z Longobardami, opisuje (str. 49) p. Wachowski bardzo ogólnikowo i źródeł do niej ani zna, ani ich wyrozumieć nie usiłuje (por. „Hist. Słow.“ 249).

Zatrzymam się tu jeszcze na jednym szczególe, należącym do historii państwa Samona, a mianowicie chodzi mi o wyraz *befulci* czy też *bifulci* w wyrażeniu Fredegara; „Winidi Befulci (al. Bifulci) Chunis fuerant“ („Hist. Słow.“, II, 24). P. Wachowski wyraz *bifulci* uważa za „formę przejściową, której ślady utrzymały się we włoskim *bifolco*“ (str. 38), a z którego wnioskuje, że Słowian nazywano „ratajami“ Awarów (str. 37). Tego samego wyrazu włoskiego użył już p. Pogodin do objaśnienia wyrazu *befulci* z tą różnicą, że z niego wywnioskował, iż Słowianie byli nie ratajami, lecz pastuchami Awarów ²⁾. Zarówno p. Wachowski, jak i p. Pogodina wywody są błędne: naprzód dlatego, że wyraz włoski *bifolco* jest już nowszego pochodzenia, że obok niego, jak sam autor pisze (str. 83), istnieje forma *bolco*, a w reto-romańskim narzeczu dziś jeszcze *biólco*, a u Warrona i Cyserona *bubulcus*; powtóre, że Fredegar tego wyrazu „*befulci*“ używa tak, iż w żaden sposób nie może on oznaczać u niego ani ratajów, ani pastuchów. Dopóki więc ktoś nie da szczęśliwszego objaśnienia, pozostajmy przy tym, jakie dotąd podawano (por. „Hist. Słow.“, II, 247).

¹⁾ O czym pisałem w „Hist. Słow.“ (II, Skorowidz pod wyrazem *Pributa*).

²⁾ Czytaj moją recenzję książki Pogodina w „Światowicie“ z 1904 r. str. 240.

W wojnie o niepodległość Samona z Frankami Słowianie odnieśli zwycięstwo pod „grodem Wogasteńskim“, — jak pisze p. Wachowski (str. 49). Ow gród Wogasteński (Wogastiburg) mieści on nad rzeką Chebem (Eger), w górach północno-zachodnich Czech (str. 85). Określenie to jest niejasne i nie mówiące. Gdyby p. Wachowski bliżej ze źródłami się zapoznał, wiedziałby, że bitwa ta była stoczona pod Wogastiburgiem (por. „Hist. Słow.“, II, 249), w krainie między Czechami a Turynją, w pobliżu Frankonji, której ludność słowiańska, od wieków autochtoniczna, musiała być w ścisłym stosunku z Samonem. O tej ludności we Frankonji ma p. Wachowski bardzo niedokładne wiadomości. Naprzód, nie rozumiem, skąd mu przyszło Słowian znad Menu zaliczać do Połabian (str. 65); potem—dlaczego autor w liście św. Bonifacego do papieża Zachariasza, dotyczącym się Słowian we Frankonji i Turynji, widzi nie to, co widzieć w nim należy? Autor sądzi, że św. Bonifacy, zapytując papieża, czy od Słowian, należących do kościoła, ale jeszcze pogan, ściągać daninę, czy nie, powodował się wstrętem, jaki dla nich żywił (str. 65). Autor naturalnie bardzo się myli, bo tutaj św. Bonifacy miał bardziej etyczne względy na myśli, mianowicie z sumieniem jego nie mogła się pogodzić myśl, aby płacili kościołowi daninę ci, którzy w ten kościół nie wierzą.

Przerazającą niedokładnością odznacza się jeszcze następujący ustęp z książki p. Wachowskiego, a dotyczący się Słowian we Frankonji. Tu, mianowicie na str. 66, autor pisze: „Po Burchardzie würzburskim¹⁾ pozostały kazania, przeznaczone dla dorosłych pogan, niezawodnie Słowian, gdyż wschodnia Frankonia oddawna już była uważana za kraj chrześcijański. Za Karola W. w tej samej diecezji byli już ochrzczeni Słowianie. Z północnej gałęzi Słowian oni najwcześniej zaczęli przyjmować chrystjanizm“. Wiadomość o kazaniach Burcharda, zaczerpnięta przez p. Wachowskiego u Cruel'a²⁾, i inne wiadomości, wyżej podane, są godne uwagi; a przecie ile tam czytelnik musiałby postawić autorowi znaków zapytania! bo co krok, to niejasność, nielogiczność nawet, tak, że nikt nie wie, o co tu autorowi chodzi. Słowian z Frankonji, mianowicie z nad Menu, p. Wachowski mylnie nazywa Połabianami (str. 65); przejdźmy więc do prawdziwych Połabian.

Słowian połabskich uważa autor za przybyszów, zapominając, że między nimi są plemiona z nazwami, które już znane były Rzymianom; a jest ich cały szereg³⁾. Plemiona te mieszkaly od wieków na swojej ziemi. t. j. były autochtoniczne. Z pomiędzy nich już Oho-

¹⁾ Był biskupem około 742 r.

²⁾ „Geschichte der deutschen Predigt“

³⁾ Są one wymienione w mojej pracy p. n. „Metoda i środki“, na str. 98, po wyrazem „Słowianie“; to samo dokładniej ugrupowane w niemieckim wydaniu tej pracy p. n. „Methode und Hilfsmittel“, na str. 134.

tryci, jak to wykazałem („Hist. Słow.“, II, 335), w 748 r. przybyli na pomoc Pepinowi Małemu, gdy wojował z Sasami. W źródłach mowa jest tutaj o Słowianach wogóle i Winidach, co jest jedno i to samo, ale byli to Obotryci, nie zaś „Połabianie serbscy“, jak mniema p. Wachowski (str. 77). Tutaj wytknąć muszę wielki błąd, jaki popełnił autor, pisząc o marce serbskiej (*limes sorabicus*), która podług niego ciągnęła się od Linczu nad Dunajem do morza Bałtyckiego (str. 79). Tak długiej marki nigdy nie było i być nie mogło, wiemy bowiem („Hist. Słow.“, II, str. 342), że marka ta ciągnęła się tylko wzdłuż rzeki Solawy. Marka serbska pilnowała państwa Frankońskiego od strony plemion serbskich, wśród których spotykamy księcia Czestibora. P. Wachowski krótko o nim wspomina (str. 112), gdy należało powiedzieć coś więcej. W swej „Hist. Słow.“ wykazałem, że w 839 r., wybrany po Czynisławie „wśród zgielku i zamieszania“ księciem przez Kolodiców, niewymieniony z imienia książę był właśnie Czestiborem. o którym w źródle 858 r. czytamy, że był najwierniejszy dla Franków i zapewne jako taki został zabity przez Serbów¹⁾. O historii Słowian połabskich, którą p. Wachowski doprowadza aż do XII w., więcej już tu nie wspominam.

Dotąd zajmowały nas różne gałęzie Słowian, którzy, zdaniem autora, ślepego zwolennika szkoły berlińsko-austrjackiej, przybyli do swoich dzisiejszych siedzib dopiero w VI w. po Chr. Ale skąd przybyli? Naturalnie — z pierwotnej swojej ojczyzny, która się znajdowała — zdaniem p. Wachowskiego, a raczej Müllenhoffa i innych powag autora — nad górnym i środkowym Dnieprem (str. 8 i 93). W obec tego już nikogo dziwić nie będzie, że p. Wachowski — za Müllenhoffem — Androfałow i Melanchlenów, bez żadnej wątpliwości będących Finnami, uważa za przodków Słowian (str. 8). O fałszywości takiego twierdzenia niema nawet potrzeby wspominać. Za to wspomnieć nie zawadzi o dziwnym pesymizmie p. Wachowskiego z jakim wraz z uczonymi szkoły berlińsko-austrjackiej zapatruje się na Słowian. I tak: za Tacytą (Germ., c. 46) „starszyzna“ u Słowian słynęła z „lenistwa“ (str. 9), gdy u Tacyty wyraz „gnusność“ nie tyczy się wcale wodzów słowiańskich. Wspominając jeszcze o niechlujstwie Słowian, nadmieniam p. Wachowski, że odznaczali się oni „szybkością w biegu“, gdy Tacyt o szybkości Słowian w biegu wcale nie wspomina (str. 9). Słowianie jeszcze w VI w. mieszkają, podług autora, w „szalasach“ (str. 13), gdy Tacyt (Germ., c. 46) wyraźnie o domach pisze; budują dla Awarów w 592 r. mosty, pobudzani do gorliwości „obawą“ dozorców awarskich (str. 11). Wojując z Bizantynami, używają „strzał zatrutych“ (str. 22), o czym rzeczywiście Maurycy pisze, ale pisząc tak, myli się²⁾.

¹⁾ Hist. Słow. (tom II, 346, 350, 364).

²⁾ Jak to się stało, że Maurycy coś podobnego napisał, wyjaśniłem w „Hist. Słow.“ (II, 226) i powtórzyłem to jeszcze w „Einführung in die Geschichte der Slaven“ na str. 79.

Mógłbym już recenzję książki p. Wachowskiego uważać za ukończoną, gdyby nie nasuwało mi się jeszcze kilka luźnych uwag. Naprzód zwrócę uwagę autora, że niepoprawnie odtwarza imiona książąt słowiańskich z form, zapisanych w źródłach. I tak np., imiona Zwonimir (w źródłach Wonomirus), Wican (Witzan), Drażko (Drasco, Thrasco), Czelodrag (Cealadragus), Czedrag (Ceadragus) p. Wachowski pisze: Wojomir, Wilczan, Drożko, Całodróg, Czedrog, gdy inni pisarze, i sam Szafarzyk, piszą je tak, jak je wyżej wymienilem. Trzy ostatnie imiona, do objaśnienia których służyć może i imię Dragowita, wskazują dynastów niesłowiańskiego pochodzenia; nie może bowiem ulegać wątpliwości, że ludność słowiańska autochtoniczna, między Łabą i Odrą, ulegała podbojowi obcych drużyn, prawdopodobnie skandynawskich. Wszak i nazwa Słowian, „Slavi“, utworzona z nazwy „Suevi“, powstała w ten sposób, że ludność windyjska zostawała pod panowaniem niemieckich Swewów, których nazwa przeszła na poddanych, jak to szczegółowo wykazywałem w swoich pracach. Tak samo niepoprawnie pisze p. Wachowski nazwy topograficzne, jak np. Vecla (Veglia).

W tym wszystkim, co wyżej napisałem, p. Wachowski może upatrywać same tylko nagany. Czyżby więc nic w jego książce pochwalić się nie dało? Można byłoby dodatnio wyróżnić to, co autor pisze o „ustrojach państwowych“, o władzy książęcej i wiecach, o państwach takich książąt słowiańskich, jak Boz (str. 19) Dobręta (str. 18), Samo (str. 51), Derwan (str. 96) i innych, gdyby p. Wachowski zapatrywał się na Słowian z innego stanowiska; wtedy bowiem szukałby początków władzy książęcej u Słowian w głębszej starożytności, niż VI w. po Chr.

Kończąc tę ocenę, nie mogę o pracy p. Wachowskiego innego wydać zdania, tylko to, że autor, opierając się wyłącznie na pisarzach niemieckich szkoły berlińsko-austrjackiej, a zupełnie ignorując historyków, filologów i archeologów przeciwnej szkoły ¹⁾, samego nawet Szafarzyka, dał nam książkę, która nie ma dla nas naukowej wartości i jest pracą, o której, jak o wielu innych książkach szkoły berlińsko-austrjackiej, wkrótce świat zapomni. Któż bowiem, niezasłепiony, zawaha się przyznać, że do prawdy szybko podąża nie ta szkoła, do której, między innemi, Müllenhoff należy, lecz inna—nasza szkoła?...

Edward Bogusławski.

¹⁾ O nich czyt. w „Einführung“, str. 7—30.

Przegląd czasopism.

1091. *Folk-Lore*, t. XIV z roku 1903. (Patrz „Wisła“, t. XVII, str. 505).

Zeszyt I-szy rozpoczyna się sprawozdaniem za rok 1902. Zastanawia w nim utyskiwanie nad zmniejszaniem się liczby członków i objawami małego zainteresowania się ogółu Tow. Folklorystycznym, oraz nad stosunkowo małą ilością prac samodzielnych — większość bowiem współpracowników ogranicza się zbieraniem materiału surowego. Okazuje się, że obojętność ogółu naszego dla etnografii nie jest zjawiskiem odosobnionym. — *Brabrook* w artykule wstępnym zastanawia się, jakie światło rzucają dotychczasowe badania folklorystyczne na początek i rozwój wyobraźni ludzkiej. Okres starokamienny (paleolityczny) nie dostarcza żadnych dowodów ćwiczenia wyobraźni, bo rysunki, ryte na kości lub kamieniu, są wiernym oddaniem rzeczywistości. Zabytki okresu nowokamiennego świadczą przeciwnie o wielkim wyrobieniu wyobraźni: człowiek w tych czasach miał już pojęcie o życiu pozagrobowym, przypisywał choroby działaniu duchów i t. p. Okres brązu jest dalszym ciągiem okresu poprzedniego i wyłania się zeń niepostrzeżenie; w nim wyobrażenia dochodzi do tak wysokiego stopnia rozwoju, że przeradza się w wiarę — czego dowodem zabijanie żon i dzieci na grobie ojca. W okresie żelaza wyobrażenia (wiara) robi jeszcze krok naprzód; świadczą o tym pomniki, piramidy i t. p. budowle, stawiane na grobie zmarłego. Obok wiary w nieśmiertelność duszy zjawia się wiara w Istotę Najwyższą, powstają próby wyjaśnienia stosunku człowieka do otaczającej przyrody, dając początek bajkom, podaniom i totemizmowi. Ludożerstwo jest zapewne wynikiem wiary w przenoszenie się zdolności i przymiotów ofiary na uczestników biesiady. — *E. Sidney Hartland*: „Głos kamienia przeznaczania“ — poszukiwania nad obiorem królów przy pomocy wróżb. Powszechne mniemanie, uznające królów za pomazańców bożych, głosi, że niebo daje wskazówki, kogo obrać należy. Sławny kamień koronacyjny szkocki (około r. 1200) miał wydawać głos, gdy usiadł na nim ten, którego niebo chciało mieć królem. Autor przywodzi liczne podania dziejowe i bajki. — *Collectanea*. Przyczynki do czci fetyszów w Afryce Środkowej, do wiary w wędrowki dusz w Anglii Wschodniej, do wiary w duchy. Oprócz tego opisy uroczystości, związanych z różnemi dniami w roku w Lerwick'u i na Malcie. Dalej mamy przyczynki o psie w medycynie ludowej i o samobójcach. — *Korespondencja*. Folklor z Hebryd: przechodzenie przez ogień u Fidżyjczyków, zwyczaj listopadowy. Ogień w Wenecji, w Anglii Wschodniej. Wigilia św. Marka. — *Przeglądy*: R. C. Maclagen, M. D.: „The Evil Eye in the Western Highlands“ (Londyn, 1902), rzecz o „Oczach urocznych“ w Szkocji

Zachodniej (górskiej). Wiara w uroki jest skłonnością wrodzoną umysłu ludzkiego, nie zaś specjalną właściwością pewnego odłamu ludzkości; istnieje też ona w całej pełni u górali szkockich.—J. Gregorson Campbell: „Witchcraft and second Sight in the Highlands and Islands of Scotland“ (Glasgow, 1902). Dużo zajmującego materiału zebrano tu o czarach, jasnowidzeniach u górali i wyspiarzy szkockich.—A. Goodrich Freer: „Outer Isles“ (Westminster, 1902), praca, poświęcona Hebrydom, ale nie wyłącznie folklorowi, w kilku bowiem rozdziałach autorka zebrała sporo wierzeń, przesądów i t. d.—H. A. Rose: „Popular Religion in the Panjab (Simla, 1902). Rzecz o religii ludowej w Pendzabie, opracowana w sposób nowy i zawierająca oryginalne wnioski. — Nathan Söderblom: „La vie future d'après le maseïsme à la lumière des croyances parallèles dans les autres religions“. (Paryż, 1901). O życiu przyszłym podług mazdeizmu w świetle wierzeń równoległych innych wyznań (przekład ze szwedzkiego). Autor odznacza się sądem trzeźwym, jest przeciwnikiem teorii zapożyczenia pojęć i wierzeń, ale niezawsze jest konsekwentny.—Lord Avebury: „The Origin of Civilisation and the primitive Condition of Man“ (Początek cywilizacji i pierwotny stan człowieka). Siódme wydanie dzieła cenionego w swoim czasie, dziś nieco przestarzałego. — „The Mabinogion“. Jest to dobry przekład pani C. Guest zabytku literatury celtyckiej, opatrzone cennymi uwagami, a wydany przez A. Nutta.—M. Maclean: „The Literature of the Celts, its History and Romance“ (Londyn, 1902). Rzecz o literaturze Celtów, ich historii i romansach w opracowaniu popularnym, nie wolnym od braków.—Ch. Roessler: „Les influences celtiques avant et après Columban“ (Paryż, 1902). Praca, mająca na celu rozbudzenie zamiłowania do badania starożytności celtyckich, nie posiada jednak głębszej wartości.—C. L. Thomson: „Tales from the Faerie Queene“. Bajki przeznaczone dla dzieci.—W. Faraday: „The Edda“. II. The heroic Mythology of the North“. Studium o Eddzie.—„Folktales from the Indus Valley, ed. by W. Crooke“ (Bombaj, 1902). Bajki ludowe z doliny Indusu.

Z. A. K.

1092. „*Journal of the Folk-Song Society*“, tom I, zesz. 3-ci (Londyn, 1901.)

(Patrz „Wisła“, XV, 231.)

W. P. Merrick zebrał 52 melodie oraz słowa do nich w okolicach Sussexu. Są to pieśni żniwne, polne, koledy, pieśni miłosne, żeglarskie, ballady i t. p., opatrzone licznymi odsyłaczami i uwagami. Znaczna część melodji ma charakterystyczne dla pieśni angielskiej zakończenie; tylko dwie (str. 9 i 41) są rzeczywiście piękne, chociaż i w innych nie zbywa tu i owdzie na ładnych taktach i ustępach oryginalnych. Znajdujemy tu zebrane z wielką skrzętnością i dokładnością wszelkie odmianki każdej nuty.

Z. A. K.

Drobiazgi ludoznawcze.

= *Legiendą o złowrogim pierścieniu*. „Kurjer Codz.“, zapewne za jakimś pismem zagranicznym, zamieścił w № 80 r. 1904 następujące opowiadanie:

„Za czasów króla Alfonsa XII, ojca teraźniejszego króla, żyła na dworze hiszpańskim sławna z piękności, hrabina Castiglione, otoczona rojem wielbicieli, między którymi był także i król. Ambitna hrabina była pewną, że król ją zaślubi. Lecz gdy tenże pojął za małżonkę księżniczkę Mercedes, zaprzysięgła zemstę i jednego dnia postąpiła królowi nadzwyczaj piękny pierścień z opalem. Król pokazał go swej małżonce, która tak była nim zachwycona, że prosiła króla, by go jej darował. Król Alfons, niewiele myśląc, dał go jej. Od tego dnia zaczęła królowa Mercedes upadać na zdrowiu i w kilka miesięcy umarła. Pierścionek, który stał się jej za szeroki, ześlizgnął się ze zdrętwiałego palca; król darował go swej babce, królowej Krystynie, która po kilku miesiącach umarła. Następnie pierścień dostał się w posiadanie siostry króla Alfonsa, infantki Marji dal Pinar, która go tylko kilka dni nosiła, bo umarła na jakąś tajemniczą chorobę. Po tym szeregu nieszczęść król postanowił sam nosić pierścionek i po 24 godzinach był trupem. Królowa Krystyna, druga jego żona, nie będąc wcale zabobonną, zdjęła pierścień z palca zmarłego małżonka, lecz cała rodzina usilnie ją prosiła, by go nie nosiła, lecz zniszczyła złowrogi klejnot. Królowa nie chciała się na to zgodzić, dała się jednak namówić, by go dalej nie nosić i powiesiła go na szyi patrona Hiszpanji, świętego Jerzego, gdzie wisi do dziś dnia. Naród jednak trwa w przekonaniu, że przeklęty ten pierścień sprowadził cały szereg nieszczęść, które dotknęły królewską rodzinę i że jemu zawdzięcza Hiszpanja ostatnią klęskę, poniesioną podczas wojny z Ameryką“.

Jeżeli pierścień nie był zaprawiony jakąś niezwykle trucizną (a że nie był—to zdaje się być niewątpliwym, bo po zwróceniu nań uwagi zdołanoby to wykryć), — mamy tu jaskrawy przykład wiary w moce nadprzyrodzone i złowrogie, wiary tak pospolitej wśród nieoświeconego ludu, utrzymującej się mimo oświaty w najwyższych sferach ludzkości. *Les extrêmes se touchent.* em.

= *Cena dziewczki dworskiej przed stu laty*. W № 3 miesięcznika rosyjskiego „Wiestnik Znania“ znajdujemy w rubryce „z literatury i życia“ niepozbowioną interesu etnograficznego notatkę pod powyższym tytułem. Jest to przedruk dokumentu sprzedaży dziewczki. Dokument ten przytacza autor dosłownie, z zachowaniem stylu składni i pisowni. Podajemy go poniżej w przekładzie dosłownym:

„W roku 1789 dnia 24 września przedstawiono w Galickim sądzie powiatowym i kopję przyjęto.

W roku tysiąc siedmset siedmdziesiątym, w d. trzydziestym września ja, porucznik Andrzej syn Jana Klisznów, z rodu swego nie ostatni, sprzedałem praporszczykowi Michałowi synowi Bazylego Mołczanowowi swoją poddaną dziewczkę dworską ze wsi Lebecków powiatu Sudziśławskiego, Annę, córkę Cyprjana, wziąłem zaś za tę moją dziewczkę dworską od niego, praporszczyka Mołczanowa, pieniędzy pięć rubli i mocen jest on, praporszczyk Mołczanow, na zasadzie niniejszego aktu sprzedaży, na wieczne czasy władać tą moją dziewczką zastawiać ją i aljenować wszelkiemi aktami wieczysłemi, przed niniejszym zaś aktem ta moja dziewczka dworska nikomu za żadną cenę nie była sprzedana, ani zastawiona, ani żadnym wieczystym sposobem aljenowana, oprócz niniejszego aktu, jeżeli zaś ta moja dziewczka od niego, praporszczyka Mołczanowa albo od jego spadkobierców z jakiego powodu odejdzie, to ja, Klisznów, i spadkobiercy moi będziemy obowiązani ochraniać jego Mołczanowa i spadkobierców jego od tych „wstupszczyków“ i od wszelkich zobowiązań wieczystych we wszystkim, podług prawa, i nie przyczyniać im żadnych strat, jeżeli zaś, bez ochrony i ze strony rzeczonych moich spadkobierców dziewczka odejdzie od niego, Mołczanowa i spadkobierców jego, to wolno będzie jemu, Mołczanowowi, wziąć ode mnie, Klisznowa i spadkobierców moich ze wsi moich inną dziewczkę podług wskazówki jego Mołczanowa, i spadkobierców jego, bez żadnych, wymówek.

Niniejszy akt podpisał porucznik Andrzej syn Jana Klisznów, jako sprzedał Michałowi synowi Bazylego Mołczanowowi swoją dziewczynę dworską Annę córkę Cyprjana i otrzymał pieniędzy pięć rubli. Niniejszy akt podpisał, jako świadek, sierżant Jan syn Atanazego Kilenik.. Niniejszy akt podpisał, jako świadek, szlachcie Jan syn Jana Kilenik.“

Różne wiadomości.

= *W „Przeglądzie Uniwersalnym“* (Kraków) w zesz. 1-ym między innemi pomieszczono interesujący artykuł p. Lucjana Rydla „W obrobie narzeczy ludowych przed szkołą wiejską“.

= *Inteligencja*. „Czytelnia dla Wszystkich,“ nowy tygodnik poświęcony nauce, literaturze, polityce i życiu bieżącemu, zastanawia się nad pytaniem: „Kto należy do inteligencji?“ i taką daje odpowiedź:

Rzeczywistą inteligencję społeczeństwa nie stanowią ci, którzy pod pozorami kultury wyższej kryją prostactwo duchowe, lecz ci, którzy w sobie skupiają twórczą siłę duchową.

Wszyscy pamiętamy jeszcze ś. p. Radomczyka, tego „pisarza z pod chłopskiej strzechy,” którego artykuły, pełne gorącej miłości społeczeństwa, spotykaliśmy nietylko w „Gazecie Świątecznej” i „Zorzy,” ale i w innych pismach (bardzo często w „Słowie.” *Red.*) Nie było sprawy społecznie ważnej, nad którąby ten paromorgowy rolnik nie zastanawiał się—nie badał, zdania swego gruntownego nie wyraził. Ten należał do inteligencji.

Albo ten chłop, którego biblioteka na setki tomów sięliczy, który jest doradcą i przyjacielem całej rozległej okolicy, sprowadzającym dla nich narzędzia rolnicze, zachęcającym do ulepszeń gospodarczych, krzewiącym zdrowie ziarna samopomocy.

A ten młody tkacz, który dlatego sam się wykształcił, żeby we wsi rodzinnej spółkę tkacką założyć i dziesiątki młodzieży koło siebie skupić, dając jej nietylko fachowy zarobek, ale i światło nauki?

A ten inny chłop, który na kilkunastu morgach siedzi, a pisze wyborną rozprawę o zwyczajach i obyczajach ludowych swojej okolicy—rozprawę, którą z zachwytem, bez zmiany, drukuje „Wisła?”

To z pewnością członek najlepszej inteligencji. I tylko ci—niezależnie od warstwy, do jakiej należą, bez względu na ich stanowisko, na stopień wykształcenia i kultury—są inteligencją—są tą siłą społeczną narodu, która stanowi o jego wartości duchowej, o jego żywotności i rozwoju.

Tak pisze „Słowo” w № 77, 2 kwietnia r. b.

= „*Nizszość*” rasy słowiańskiej wobec *gierniańskiej* w *światle walki o ziemię*. W obradach nad projektem zmiany ustawy kolonizacyjnej w pruskiej izbie panów stwierdzono, że nie spełniły się wcale oczekiwania, jakie łączono z działalnością Komisji kolonizacyjnej. Pomnożył się raczej żywioł słowiański „kosztem niemczyzny”. W ciągu 18 lat swego istnienia Komisja kolonizacyjna zakupiła 228,000 hektarów, z tych z polskiej ręki tylko 95,000 hekt., a zatem 42% ogólnej przestrzeni zakupionej, z której tylko 116 tysięcy hektarów jest rozkolonizowanych między 7,539 rodzin, albo około 50,000 dusz. W porównaniu z 2 milionami Polaków jest to zdobyczą, pozbawioną wszelkiego znaczenia.

Do tego dodać należy, że z każdym rokiem zmniejsza się podaż ze strony polskiej, podnosi się natomiast ze strony niemieckiej. A normalnie wysokie ceny ziemi odstraszały przychodźców niemieckich i osłabiają w niebezpieczny sposób fundusz kolonizacyjny.

W Komisji stwierdzono dalej, że polska własność ziemska wzrosła w ciągu 7 lat o 40,000 hektarów. Winę wzmocnienia polskiego żywiołu przypisano polskiemu duchowieństwu, a także szkole. Wobec tego wskazano na to, że niemieccy biskupi katolicy w ostatnim czasie zdają się popierać dążności Komisji kolonizacyjnej na kresach wschodnich tam, gdzie stworzono niemieckie osady katolickie na większą skalę. Dlatego udzielono Komisji kolonizacyjnej rady, aby powołała do życia zwarte kolonie katolickie.

Za podnoszenie cen ziemi minister uczynił odpowiedzialnemi polskie banki. Najważniejszą atoli przyczyną cofania się niemczyzny na kresach wschodnich upatrywano w fakcie, że nietylko oszczędność i pracowitość, narodowy zapał, ale także cnoty obywatelskie objawiają się u Polaków żywiej, aniżeli u Niemców na kresach wschodnich. Jednomyslnie wypowiedziano w Komisji przekonanie, że na Wschodzie pruskim musi niemczyzna zginąć, *jeżeli cnotami obywatelskiemi Polacy przewyższają będą stale Niemców.*

— „*Orędownik*“ donosi, że lekarz poznański, dr. Szuman, ostatecznie, pomimo protestu prokuratora, przeprowadził polską pisownię nazwiska, zamiast „Schuman“. Dr. Sz. zmuszony był wydobyć metryki przodków swoich aż od r. 1780.

— *Nazwy gmin we Francji.* Najkrótszą nazwę we Francji posiada niewątpliwie gmina Y w kantonie Ham. Szesnaście innych pisze się tylko dwiema literami: Ay, Bù, By, Eu, Fa, Gy, Oò, Oz, Py, Ri, Ry, Sy, Ur, Us, Uz, Wy. Ten krótkowy lakonizm wynagradzają inne nazwy gmin, złożone z kilku wyrazów.

Do najdłuższych niewątpliwie należą następujące dwie, pierwsza złożona aż z 38 liter, druga z 34:

Saint-Rémy-en-Bouzemont-Saint-Genest-et-Isson (Marne) i

Roche-sur-Linotte-et-Sorans-les-Cordiere (Haute-Saone).

Bardzo wiele jest nazw jednakowych; nazwę Saint-Pierre nosi 154 miejscowości, Saint-Jean 167, a Saint-Martin aż 248 miejscowości.

em.

ŚWIATOWIT

Rocznik poświęcony Arche-
ologii przeddziewowej i ba-
daniom pierwotnej kultury
polskiej i słowiańskiej.

wydawany przez

ERAZMA MAJEWSKIEGO.

Tom I, Warszawa, 1899, str. 210 z 57 ilustracyami w tekście i XI tablicami. Rb. 1.80.

Tom II, 1900, str. 261 z 58 illustr. w tekście i XVI tabl. Rb. 2.—.

Tom III, 1901, str. 254, z 59 illustr. w tekście i XVI tabl. Rb. 2.—.

Tom IV, 1902, str. 280, z 411 illustr. w tekście i IV tabl. Rb. 2.50.

Tom V, 1904 str. 268, z 506 illustr. w tekście i XI tabl. Rb. 2.50.

Wydawnictwa Jana Fiszer'a w Warszawie, Nowy-Swiat 9.

Jabłonowski Władysław. <i>Chwila obecna.</i> Dążności i usposobienia. (Chwila obecna. Epopeja psychologiczna. Na krańcach indywidualizmu. Smutek współczesny. Nieco zawiele optymizmu. Otchłań. Niepewne drogi. Ruch etyczny). 1901, str. 177	1 —
Karłowicz Mieczysław. <i>Niewydane dotychczas pamiątki po Chopinie.</i> Listy Chopina do rodziny i rodziny do niego. Listy pani Sand i jej córki. Listy Wodzińskich. Listy uczennic i znajomych Chopina. Korespondencja panny Stirling. Rozmaitości. 1904. 4-o, str. IV i 402, oraz portrety	3 20
Kozłowski Wł. M. <i>Dekadentyzm współczesny,</i> jego geneza i filozofja (Fryderyk Nietzsche). Wydanie 2-e, rozszerzone i przerobione. 1904, str. 127	— 90
— <i>Psychologiczne źródła niektórych zasadniczych praw przyrody.</i> (Treść: Wstęp. Prawa przyrody. Pełnia i próżnia. Trojaki charakter rozciągłości). 1899, str. 69	— 75
— <i>Szkice filozoficzne.</i> 1900, str. 290	1 50
Kozmian Stanisław. <i>Rok 1863.</i> 3 tomy. 1903, str. 261, 330 i 386	3 60
W oprawie płóciennnej	5 —
Kraushar Aleks. <i>Barss,</i> palestrant warszawski, jego misja polityczna we Francji (1793—1800). 1904, str. 317.	1 50
Matejko Jan. <i>Wizerunki królów i książąt polskich.</i> 44 portrety z tekstem objaśniającym. 1901, 4-o, str. XIV i 168	3 —
W ozdobnej oprawie	4 —
Mercler D. <i>Historja psychologii nowożytniej</i> (Les Origines de la Psychologie contemporaine). Przekł. W. Kosiakiewicza. 1900, str. 317	2 25
— <i>Kryterjologia</i> czyli traktat o pewności. Przekład W. Kosiakiewicza i A. Krasnowolskiego. 1901, str. IX i 462	2 50
— <i>Logika.</i> Przekład W. Kosiakiewicza. 1900, str. 258	1 60
— <i>Metafizyka ogólna.</i> 1904, str. 738 i XVI	3 50
— <i>Psychologia.</i> Przekład Ant. Krasnowolskiego. 1902, str. 742 i XIX	3 50
Monografie artystów polskich. <i>Franciszek Żmurko,</i> napisał Kazimierz Daniłowicz Strzelbicki, z 69 rysunkami. W ozdobnej oprawie	2 50
Wydanie wytworne na welinie	3 50
Muther Ryszard prof. <i>Historja malarstwa. Tom I.</i> Trecento i Quattrocento, przełożył Stanisław Wyrzykowski. 1904	— 50
— <i>Tom II.</i> Mistycy i marzyciele. Malarstwo giermańskie w epoce reformacji	— 50
— <i>Tom III.</i> Cinquecento	— 50
— <i>Tom IV.</i> Malarstwo w epoce baroku. Wiek złoty malarstwa niderlandzkiego	— 50
— <i>Tom V.</i> Malarstwo w epoce rokoka tudzież Wielkiej rewolucji	— 50
Nałkowski Wacław. <i>Ziemia i człowiek.</i> Szkice i studia geograficzne. 1901, str. 288.	
Treść: Od autora. Kilka słów o wadach w wykładzie geografji u nas. W obronie tak zwanej geografji. Nasze krajoznawstwo i środki jego podniesienia. Gościnność jako objaw etnologiczny. Z powodu artykułu „Etyczne znaczenie geografji“. Ocena zasług Kolumba. Michał Hube jako geograf-pedagog. Geografja Sniadeckiego. Zasługi Kollataja na polu geografji. Projekt afrykańskiej wyprawy Rogozińskiego i jej prawdopodobne rezultaty. Kraj lodowy i jego mieszkańcy. Dwie perły uroczej Italji. Znaczenie geograficzno-dziejowe morza Śródziemnego. Systemat Nilu i jego znaczenie. Abisynja i jej mieszkańcy. Dżungarska Brama Narodów. Afganistan i jego stanowisko geograficzno-dziejowe	1 80
W płóciennnej oprawie.	2 30

Wydawnictwa Jana Fiszer'a w Warszawie, Nowy-Świat 9.

Rembowski Aleksander. <i>Pisma.</i> Tom I. 1901, 8-o, str. 549	4 --
— <i>Pisma.</i> Tom II. Sprawy publicystyczne. Krytyki naukowe. 1902, str. 744	4 —
— <i>Źródła do historii pułku polskiego lekkokonnego gwardji Napoleona I.</i> Z rękopisów oryginalnych i druków wydał i przedmową zaopatrzył. 1999, 4-o, str. 829, z rycinami i podobiznami	20 —
Sierżputowski T. <i>Kartki z dziejów stosunków polsko-pruskich w XVI stuleciu.</i> 1902. str. 104.	— 75
Strzelecki Adolf. <i>Z życia Chopina.</i> Szkic z profilu, z portr. Chopina według rysunku Eug. Delacroix	1 —
Szczerbatow ks. <i>Kampanja polska księcia Paskiewicza w 1831.</i> 1899, str. 199	1 20
— <i>Rządy księcia Paskiewicza w Królestwie Polskiem</i> (1832 — 1847). 1900, str. 315	1 50

Wydawnictwo JANA FISZERA, Warszawa, Nowy-Świat 9.

ROK POLSKI W ŻYCIU, TRADYCJI I PIEŚNI.

Przedstawił ZYGMUNT GLOGER.

Z 40 rycinami *Andriollego, Jul. Kossaka, Alfr. Kowalskiego, Pocięchy, Wojc. Grabowskiego i inn.* — 384 stronice wielkiego formatu.

Cena 5 rb., na welinie 6 rb. W ozdobnych oprawach po 6, 8 i 9 rb.

Cała prasa polska przyjęła dzieło to z entuzjazmem. Jeden z wybitnych krytyków tak się wyraził:

„Prawdziwą zasługę ma Zygmunt Gloger, słowa gorącego uznania należą mu się za to, że w chwili tej, gdy tradycja zwyczajowa ginie, uwiecznił ją i utrwalił owym znakomicie zredagowanym dziełem. Zebrał wszystkie obyczaje ludu, zebrał tradycję szlacheckich dworów, cofnął się wstecz w minione wieki, aby złożyć całokształt życia narodowego, jego zwyczajów, zabaw i misterjów świątecznych. Dowiadujemy się stamtąd o obchodach i obrzędach, mających zaprawdę początek w przedhistorycznej pogańszczyźnie, dowiadujemy się o pieśniach, o których lud nasz już niestety zapomniiał.“

Ś. p. Adam Pług tak zakończył obszerną i nader pochlebną krytykę: „... przypadnie do serca każdemu, w kim jeszcze nie wygasła do ostatka miłość rzeczy rodzimych, a może i w oziębłych zdoła je nanowem rozniecić, zwłaszcza tym czarem poetycznym, jakim tchną obrazy świąt i obchodów doroczych.“

WYSTAWA ETNOGRAFICZNA

w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa (Krakowskie-Przedmieście № 66)

otwarta dla publiczności codziennie od godziny 10-ej zrana do 4-ej po południu, a dla rzemieślników nadto w dni powszednie od godz. 7-ej do 9-ej wieczorem.



Zakład Fotochemigraficzny **B. WIERZBICKI i S-ka**

Warszawa, ul. Złota 24, Telefonu 1370

WYKONYWA :

Zdjęcia fotograficzne do celów technicznych i przemysłowych.

Klisze do druku na cynku, miedzi i mosiądzu.

Klapy geograficzne.

Reprodukcja obrazów i rysunków w kolorach.

Fotolitografia i trawionki autograficzne.

Powiększenia fotografji.

Diapozytywy.

Wszelkie roboty, których wykonanie da się uskutecznić za pomocą fotografji i wytrawiania.

Pragnąc przyjść z pomocą materialną naszemu wydawnictwu, p. Wierzbicki i S-ka wykonywają dla „Wisły” **zupełnie bezpłatnie** wszelkie ilustracje, które dają się wykonać sposobem fotochemigraficznym. Redakcja „Wisły” uważa za swój obowiązek złożenie im serdecznego podziękowania za tak hojną ofiarność. Wszystkie ilustracje (prócz kolorowych) w tomie XIV-m do XVIII-go i w roczniku bieżącym wyszły z ich zakładu.

Redakcja.

Poradnik Językowy

poświęcony poprawności języka i stylu polskiego, wychodzi w Krakowie w początku każdego miesiąca, z wyjątkiem sierpnia i września, pod redakcją dyrektora R. Zawilińskiego.

Przedpłatę roczną w ilości 1 rb. 50 kop., z przesyłką pocztową 1 rb. 80 k., można składać we wszystkich księgarniach.

Skład główny w *Krakowie*, w księgarni D. E. Friedleina, w Rynku głównym, i w *Warszawie*, w księgarni E. Wendego i S-ki, Krak.-Przedm. 9.

Redaktor i Wydawca **Erazm Majewski.**

Дозволено Цензурою. Варшана, 8 Мая 1904 года.

Druk Rubieżewskiego i Wrotnowskiego, Warszawa, Nowy-Swiat № 34.